Cena 40 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ODNOWA

TYGODNIK

1 Październik, 1936 r. Czwartek Nr. 5

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Trauguta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6-97-99.

WÓDZ

Duce, Führer, Wódz — oto w różnych językach rozgłośne hasło, szczególnie charakterystyczne dla naszej powojennej epoki. Warto się wmyśleć w jego treść i dzieje.

Różni bywali Wodzowie w historji—począwszy od «biczów bożych», którzy szerzyli strach i spustoszenie, tak iż trawa nie pozostała, gdzie stąpiły kopyta ich koni, aż do «biedaczyny bożego», który, jak mówi jego legenda, przez miłość rozkazywał żywiołom, i po dobrej woli posłuszne mu były nietylko serca człowiecze, ale i nierozumne stworzenia: ptak, jagnię, wilk...

Jeżeli chodzi o wodzów politycznych, to rozróżnić można trzy główne typy.

Wódz-Człowiek, Wódz-Koncepcja, Wódz-Automat.

*

Jak ptak, który musi pracować nieustannie skrzydłami, by się wznieść w górę i by się w górze utrzymać, a skoro tylko skrzydła złoży, upada, — tak człowiek, który własnym genjuszem, własną moralną i umysłową wartością wyrasta ponad szarą masę ludzką, musi nieustannym własnym wysiłkiem utrzymać się na tych wyżynach. Takiemu człowiekowi zbędne są koturny odznaczeń i tytułów dla sztukowania jego wzrostu, i narzędzia techniczno-materjalnej przewagi dla wykazania jego siły, i rozgłos płatnej reklamy rozdymania wielkości. Sam z siebie czerpie cały swój blask i wszystkie swoje przewagi. Jedynem ich źródłem — jego charakter, talenty, wiedza, praca, zasługi.

Takim wodzem był w starożytności Perykles. Nie posiadał straży ochronnej, nie był bogaty, nie rozporządzał żadną, osobiście z nim związaną, siłą zbrojną. Nie posiadając sam większego majątku, nie pobierał ni grosza z funduszów publicznych. A gdy lekkomyślny i marnotrawny syn jego zaciągnął długi na rachunek ojca, Perykles nie wahał się publicznie przed sądem syna napiętnować. Nic nigdy nie brał od ojczyzny, sam jej wszystko z siebie ofiarował i swojem poświęceniem, umiejętnością, pracą doprowadził ją do szczytu materjalnej, wojennej i kulturalnej potęgi. Gdy umierał, ostatnie jego słowa były: «Jedną tylko rzeczą się chlubię: nie wyrządziłem nikomu krzywdy, żaden Ateńczyk nigdy z mojej winy nie przywdział żałoby».

Nie był królem ani cesarzem. Nie nosił żadnych tytułów. Żył i umarł pod prostem imieniem własnem: Perykles. Ale to imię znaczy: Grecja. I póki pamięć o Grecji żyć będzie na ziemi, pozostanie od niej nieodłącznie, jako symbol nieśmiertelny jej genjuszu, potęgi i chwały.

*

Człowiek może też zdobyć władzę nad narodem, gdy wyczuje jakieś głęboko drzemiące w nim popędy, gdy ujmie je w formę pociągającej idei — wizji, i gdy uczyni się sam sztandarowym tej idei heroldem i szermierzem.

Takimi wodzami stali się w czasach naszych Lenin, Mussolini, Hitler.

Lenin ludowi rosyjskiemu rzucił hasło: «Robotnicy i chłopi Rosji! Byliście niewolnikami tego kraju, ja was uczynię jego panami. Byliście nawozem tej ziemi, ja was uczynię jej kwiatem. Tylko słuchajcie mnie ślepo. Grabi nagrablionnoje! Wszystko tu będzie inne, i wszystko tu będzie wasze. Rozpoczynamy nową erę historji».

Mussolini mówi do Włochów: «Mężczyźni i kobiety Italji! Jesteście spadkobiercami historycznymi Rzymian, niegdyś panów świata. Przywrócą temu krajowi dawny jego blask i potęgę. Musicie mi się oddać w ręce. Uczynię z was dawne, niezwyciężone, karne, żelazne falangi rzymskie. Odbuduję Imperjum Cezarów».

Hitler mówi do Niemców: «Jesteście potomkami tych, którzy rozbili niegdyś Rzym światowładny i na jego gruzach założyli podwaliny nowego życia i ładu. Jesteście genjalną, wybraną, do panowania stworzoną rasą! Stańcie się sobą! Pójdźcie za mną! Pod mojemi rozkazami zbudujecie nowoczesny świat niemieckiej potęgi, niemieckiego prawa, niemieckiego szczęścia»!

Imię takiego wodza związane jest także nierozerwalnie z jego narodem, ale tylko dopóty, dopóki trwa i zwycięża jego wytyczna idea. Z jej upadkiem, z wydobyciem się na powierzchnię ujarzmionych elementów, upada.

Bo taki wódz nie może już, jak Perykles, być wolnym człowiekiem wśród wolnego ludu. Jest związany swoją koncepcją i musi nią związać swój naród. Ściśle wedle fantazji Konrada:... «Chcę ich dźwignąć, uszczęśliwić... A jeśli się sprzeciwią, niechaj zginą i przepadną»!

Nie jest to już człowiek, który — jak ptak pracą własnych tylko skrzydeł — tak on wysiłkiem swego tylko ducha wznosi się i utrzymuje na wyżynie. Dla wyniesienia się i dla utrzymania się w górze potrzeba mu już także systemu mechanicznej przewagi, potrzeba mu — aparatu.

*

Stąd przejście do trzeciego typu Wodza, dla którego aparat jest — wszystkiem. Należy tu ogromna większość cezarów starożytnego Rzymu, średniowiecznych panów Bizancjum i nowożytnych rosyjskich carów. To jest Wódz-Automat.

Nie wyrasta ponad tłumy bezsporną indywidualną swoją wartością ludzką. Nie wynosi go na szczyty potęgi olśniewająca i porywająca masy koncepcja myślowa, której sam służy, i której mocą panuje. Ciąży tylko nad temi masami mechaniczną przewagą zorganizowanej siły materjalnej, biurokratyczno-policyjno-wojskowej.

Nie wydobywa i nie wyzwala, jak Wódz-Człowiek, najlepszych samorodnych pierwiastków psychiki swego narodu, by rozwijały się w swobodnej grze sił, by rozkwitały i dojrzewały w atmosferze wolności, jak rośliny w słońcu.

Ani też, jak Wódz-Myśl, nie gra umiejętnie na jego przyrodzonych, częściowo dodatnich, częściowo ujemnych, instynktach i popędach, budząc do życia drzemiące w masach pokłady energji.

Wódz-Automat, przeciwnie, przytłacza wszelkie samorzutne, nieprzewidziane i niedozwolone zgóry odruchy i porywy jednostek i społeczeństwa, gasi wszelkie światła, hamuje swobodny rozrost sił, ujmując wszystko w twarde tryby swego martwego ale zato potężnego, bezpiecznego i ślepo posłusznego aparatu. Do czasu!.. Bo zawsze przychodzi moment, kiedy żywe siły narodu rozrywają żelazny pancerz krępującego go mechanizmu. O ile w jego sztywnym bezdusznym uścisku nie zamierają wkońcu i nie gasną na wieki. Tak jak to się stało z Rzymem cezarów i z Bizancjum i, poczęści, z caratem.

*

Wiele oczywiście istnieje jeszcze pośrednich przejściowych rodzajów wodzów. Ale te są trzy zasadnicze, typowe.

Wódz-Człowiek, Wódz-Myśl, Wódz-Automat.

W. NIENASKI

Na błędnej drodze

Zwolennicy systemu rządów autorytatywnych, państwa totalnego, zasady wodza narodu czy jak nazwać te różne odmiany i odcienie kierunków politycznych, czerpiących natchnienie bądź z lewa, z komunizmu, bądź z prawa, z faszyzmu czy hitleryzmu, dzielą się w Polsce jakby na trzy grupy. Mała tylko garstka jest wśród nich zwolenników tego kierunku z głębokiego przekonania i dla względów zasadniczych. Ta grupa, przeważnie ludzi bardzo młodych i niezupełnie dojrzałych politycznie, wyznaje teorje faszystowskie, jak się wyznaje religje, raczej uczuciowo, niż rozumowo. Dyskusja z nimi jest zbyteczna i niemożliwa. Druga grupa, to fanatycy — sprawy żydowskiej, patrzący na wszystko przez pryzmat jej załatwienia i w systemie autorytatywnym o odcieniu narodowym widzący najłatwiejszy sposób radykalnego usunięcia wpływów żydowskich i odseparowania żydów duchowo i fizycznie od większości narodowej. Tu już dyskusja, zarówno zasadnicza, co do znaczenia sprawy żydowskiej w życiu narodu polskiego, jak i w sprawie celowości i skuteczności państwa totalnego dla jej załatwienia byłaby i możliwa i wskazana. Wykracza ona jednak poza tematy, które poruszamy na tych łamach, będąc zagadnieniem raczej wewnętrznem niż zagraniczno-politycznem. Trzecia wreszcie, bodaj najliczniejsza i najbardziej wpływowa grupa, to zwolennicy rządów autorytatywnych z oportunizmu politycznego. Argumenty tej grupy są przedewszystkiem natury zagraniczno-politycznej. Z nią też zamierzamy dzisiaj nieco podyskutować.

Rozumowanie zwolenników tej grupy jest mniej więcej następujące: Nie zachwycamy się państwem totalnem i systemem autorytatywnym. Widzimy różne jego słabe strony. Wolelibyśmy żyć w państwie demokratycznem, korzystać w pełni ze swobód obywatelskich, które ono zapewnia. Ale, niestety, dla Polski jest to niemożliwe. I tu, obok argumentów wewnętrzno-politycznych, które sprowadzają się do jednego wspólnego mianownika: rzekowej niedojrzałości narodu polskiego, występują na pierwszy plan argumenty zewnętrzne. Że to Polska, położona pomiędzy dyktatorską Rosją i dyktatorskiemi Niemcami nie utrzyma się bez dyktatury. Bo dyktatura zapewnia jednolitość i stałość polityki, sprężystość działania, łatwość decyzji i energję w jej przeprowadzeniu. I tu cytuje się sukcesy Mussoliniego czy Hitlera, rzadziej Stalina. I kończy się pełnym rezygnacji wnioskiem, że trudno, Polska musi dostosować się do swego otoczenia, nie może być anachronizmem, bo wszak już raz drogo zapłaciła za to, że nie była monarchją absolutną, gdy otaczały ją absolutne monarchje.

Sądzimy, że w tem rozumowaniu niemal ile słów, tyle błędów. Bo najpierw nie wydaje nam się, aby wogóle można było dyskutować sprawę dyktatora. Dyktatora nie można ani wybrać, ani mianować. Dyktator sam się mianuje, sam władzę bierze. Albo więc jest, urodził się gdzieś dyktator «z łaski Bożej» albo go niema. A jeśli go niema, to dyskusja o państwie totalnem i o systemie autorytatywnym rządzenia sprowadza się do zagadnienia rządzącej grupy czy kliki, ale nie jednostki. Odrazu więc powstaje różnica systemu w porównaniu do państw sąsiednich, które dyktatorów mają. I to dyktatorów, którzy właśnie sami, własną cnotą czy własną zbrodnią, wybili się ponad wszystkich współobywateli, zyskali szeroki wpływ i wielki autorytet i władzę zagarnęli, nikogo o zgodę, wybór czy nominację nie pytając. Niema dyskusji na temat czy Hitler, Mussolini, Stalin ma być wodzem czy dyktatorem. Oni wodzami i dyktatorami poprostu są. Tam, gdzie zaczyna się, gdzie jest możliwa na ten temat dyskusja, tam wodza, dyktatora niema.

Położenie Polski pomiędzy dwiema dyktaturami nie jest też wcale argumentem za koniecznem zaprowadzeniem dyktatury u nas. Bo najpierw o upodobnieniu naszych rządów do rządów u naszych sąsiadów nie może być mowy z tego prostego powodu, że u każdego z nich rządy są wprawdzie dyktatorjalne, ale zupełnie djametralnie różne. Możemy więc upodobnić nasz system rządowy tylko do systemu u jednego sąsiada. A to właśnie byłoby największem niebezpieczeństwem. Polska sowiecka byłaby taką samą płachtą czerwoną dla hitlerowskich Niemiec, jak Polska faszystowska dla sowieckiej Rosji. W tej, wyjątkowo szczęśliwej dla nas, sytuacji, że z powodu zupełnie sprzecznych światopoglądów nie grozi nam chwilowo przynajmniej porozumienie Niemiec z Rosją naszym kosztem, zadanie nasze przedewszystkiem sprowadza się do niedopuszczenia do starcia się tych dwu światopoglądów na naszym terenie, do wojny, którąby musiała i nas ogarnąć. Wojnę tę utrudnia fakt, że Polska nie jest ani prze-

Wieści krajowe

Łódź

Wybory samorządowe w Łodzi byłyby wypadkiem średniej miary w warunkach normalnych. Natomiast w warunkach naszej rzeczywistości politycznej stały się zjawiskiem jaskrawem, niepokojącem, dalekosiężnem, syntetycznem. Eksperyment socjalny. Przestroga. Pierwsza bitwa. Plebiscyt. Rozbestwienie. Rozłam. Votum ufności i nieufności.

Istotnie, wszelkie symplifikacje pojęć i czynów znamionują stany gorączkowe. gdzie już niema mowy o wyborze najlepszego środka, lecz jest o dostrzeganiu domniemanego niebezpieczeństwa. Niemcy głosują z endecją. Komuniści z P. P. S. Żydzi miotają się od lewicy do nacjonalizmu własnego. Sanacji niema wcale. A reszta obywateli, którym nie wystarcza podział barbarzyński według haseł krańcowych, giną w tej orgji namiętności, wniosków, oszczerstw, napaści brutalnych. W Łodzi powstał twór, składający się z paszczy i z ogona, a wszystko pośrednie zniknęło.

Nic w tem dziwnego. W Polsce jest głód polityczny, głód wyborów niezależnych. Głosowali ludzie spragnieni i głodni, a więc przykładanie miary zwykłej byłoby tutaj naiwnością.

Wyniki oficjalne ogłaszają, że P. P. S. zdobyła mandatów — 34, obóz narodowy — 27 i Żydzi wszelkiego autoramentu — 11. Ale te suche liczby zawierają wiele komponentów odrębnych, których istnienie wykaże niedaleka przyszłość. Przekonają się o tem wkrótce „zwycięzcy", gdzie komuna gra rolę ogromną; przekonają się także „narodowcy", że pomiędzy dwoma krańcami światopoglądów jest jeszcze bardzo dużo miejsca w każdem państwie.

dłużeniem komunizmu ani hitleryzmu, że ma oparcie na zachodzie w demokratycznej Francji, Jeśli więc wogóle o upodabnianiu naszego ustroju państwowego może być mowa, to logicznie narzucałaby się konieczność upodobnienia go do ustroju tego państwa, z którem najbardziej musimy współpracować w dziele utrzymania pokoju, t. j. Francji. Sądzimy jednak, że wogóle nasza sytuacja geograficzna upoważnia do jednego tylko wniosku, a tym jest konieczność odrębności ustrojowej i od Niemiec i od Rosji. Żadnych innych wniosków wyciągać z niej nie trzeba.

Pozostaje kwestja sprężystości, jednolitości i stałości działania. Nie przeczymy, że dyktatura pod tym względem pewne korzyści daje. Przynajmniej na krótką metę. Bo na dłuższą żaden system nie grozi właśnie większymi wstrząsami, naglejszemi zmianami i możliwością większych skoków od jednego ekstremu w drugi, jak właśnie dyktatura. W naszem położeniu geograficznem jest to niebezpieczeństwo szczególnie groźne. Nie zdaje nam się też, aby stałość polityki zagranicznej Anglji, Stanów Zjednoczonych czy nawet Francji była, mimo częstych zmian personalnych, mniejsza od stałości polityki Włoch, Niemiec czy Rosji. Jest natomiast ta polityka z pewnością mniej zależna od nastrojów, upodobań i sympatyj osobistych, które w każdym systemie dyktatorjalnym odgrywają bardzo dużą, nieraz decydującą rolę. Niebezpieczeństwo zbyt daleko idącego utożsamiania interesów dyktatury z racją stanu państwa nie może być również lekceważone. Mickiewiczowskie «ja i ojczyzna to jedno», szczytne, jako wyraz moralnego poczucia, przetransponowane na język polityczny jest źródłem wielu błędów i powodem wielu nieszczęść.

Polska w swojej sytnacji geograficzuej potrzebuje silnego rządu. Z tem zgadzamy się wszyscy. Ale czy istotnie silnym rządem jest rząd autorytatywny, oparty na fizycznej sile, a pozbawiony zaufania szerokiego ogółu? Czy w szczególności silnym może być dyktator z nominacji, uzależuiony od tych, którzy go powołali i którzy otaczają go nimbem, jak długo jest powolnem narzędziem w ich ręku? Czy silniejszy był Rzym komsulów, w którym rządził Senatus populusque czy Rzym cezarów, których obalali pretorjanie?

Oszałamiają u nas wielu sukcesy zagraniczno-polityczne dyktatorów. Nie sądzimy, aby istotnie sukcesy te przypisywać należało faktowi istnienia dyktatury. W najjaskrawszym wypadku niemieckim nie ulega wątpliwości, że polityka n. p. Stresemanna przysporzyła Niemcom relatywnie tyleż sukcesów, co polityka Hitlera. Mówimy relatywnie, bo sukcesy polityki niemieckiej rosną w miarę wzrostu siły państwa niemieckiego, a ta rośnie stale od chwili zawarcia pokoju i przełamania rewolucji. Rosła już przed dojściem do władzy Hitlera i rośnie nadal. Nie rozporządzał więc jeszcze Stresemann takiemi możliwościami, jakie miał już Hitler. Trudniej też było uwolnić Nadrenję od okupacji, niż wprowadzić do niej swoje garnizony. W każdym zaś razie zupełnie tak samo, temi samemi metodami i w ten sam sposób operowały Niemcy demokratyczne, jak Niemcy hitlerowskie, które w polityce zagranicznej idą zupełnie w ślady Stresemanna, choć okrzyczały go za zdrajcę. Polityka Stalina idzie wyraźnie śladami polityki carskiej Rosji, zarówno w Azji, jak w Europie. Nie widzimy też różnicy n. p. między grą Mussoliniego pomiędzy Niemcami i Francją, a polityką Włoch demokratycznych i «masońskich» przed wejściem ich do wielkiej wojny.

Natomiast nie możemy zamknąć oczu ani na niebezpieczeństwo jednostkowej decyzji o sprawie wojny i pokoju, ani na niebezpieczeństwo szukania sukcesów zagranicznych dla podtrzymania autorytetu wewnętrznego. Już w zatargu włosko-abisyńskim były chwile, w których trzeźwy obserwator wypadków pytać się musiał z trwogą, czy idzie tu o interes Włoch — czy tylko o ratowanie pozycji Mussoliniego? Skończyło się to tym razem dla Włoch pomyślnie, dzięki zbiegowi wielu okoliczności, wśród których fakt rządów dyktatorskich, zresztą właśnie w najcięższych chwilach po raz pierwszy bardzo ograniczonych na rzecz Najwyższej Rady Faszystowskiej, bodaj najmniejszą odegrał rolę.

Sukcesy Niemiec czy Włoch są poprostu rezultatem wracania sił narodów, osłabionych wielką wojną, a niezadowolonych z przyciasnych ram, w jakie zamknęły je traktaty pokojowe. W historji nie jest to zjawisko odosobnione.

Nie sądzimy przeto, aby oportunizm polityczny przemawiał w Polsce na korzyść rządów autorytatywnych, systemu dyktatorjalnego czy wodzowskiego. Przemawia natomiast na korzyść wzmożenia sił narodowych, rządów prawdziwie silnych, bo opartych na zaufaniu mas, polityki prawdziwie stałej, bo opartej na zrozumieniu interesu państwowego, racji stanu. Wodza potrzebuje i musi mieć armja. Społeczeństwo ponosi za swe państwo odpowiedzialność zbiorową.

Nie mamy pretensji do wyczerpania tematu, który wydaje się nam dziś specjalnie aktualnym wobec coraz wyraźniejszych tendencyj do grupowania się państw o pokrewnych ustrojach wewnętrznych. Że zacytujemy tylko fakty najświeższe, norymberskie głosy o konieczności współpracy państw faszystowskich i porozumienie walutowe państw demokratycznych. Zbliża się czas, w którym wszystkie państwa będą zmuszone określić jasno swoje pozycje. W Polsce jest nad czem podyskutować. Uwagi niniejsze chcielibyśmy traktować jako zagajenie dyskusji z naszego, zagraniczno-politycznego punktu widzenia.

Kronika zagraniczna

Panu Bogu świeczka...

Tym razem, zgodnie z wskazówkami zgóry, p. min. Beck manifestuje w Genewie wierność sojuszniczą. Pierwsze rozmowy były z ministrami Rumunji, Antonescu, i Francji, Delbosem. W kąt poszły frondy z neutralnymi i konszachty z malkontentami. Tylko dla jednych Węgier zrobiono wyjątek i była rozmowa z min. Kanyą. Ale to tylko dla potwierdzenia reguły. Nawet Włochy tym razem nie uzyskały żadnej pomocy i głosowaliśmy przykładnie razem z naszymi sojusznikami za uznaniem ważności mandatów delegacji abisyńskiej. Fasada została utrzymana.

...i djabłu ogarek

Ten zapaliliśmy Niemcom w sprawie gdańskiej. Likwidacja incydentu z krążownikiem „Leipzig" odbyła się zupełnie jak za dawnych, dobrych czasów flirtu z Berlinem. A raport Wysokiego Komisarza Lestera o wewnętrznych zarządzeniach hitlerowskiego senatu nie wyjdzie bodaj poza Komitet Trzech. Przełknęliśmy gładko afront, który Niemcy zrobiły nie tylko Lidze, ale i Polsce, która ustalała i komunikowała protokuł dyplomatyczny wizyty obcych statków w Wolnem Mieście. Nasza mocarstwowa drażliwość tym razem zadowoliła się bardzo wątpliwą satysfakcją, zawartą w stwierdzeniu noty niemieckiej, że „nie istniała chęć postępowania przeciw statutowi W. Miasta lub przeciw prawom Polski". I nic więcej — ani przeprosin, ani ubolewania, ani obietnic na przyszłość. Widocznie też pogodziliśmy się z wydaniem na łaskę i niełaskę gdańskich hitlerowców i opozycji niemieckiej i mniejszości polskiej. Przyjęliśmy do wiadomości zupełne „zgleichschaltowanie" Gdańska. Nie dziwimy się już nawet, że wszystko w nim dzieje się według rozkazów z Berlina. Płacimy bez szemrania wysoką cenę — przyjaźni.

Nawrócony grzesznik

Jest nim według P. I. P. sojusznicza Rumunja. Dymisję min. Titulescu i nominację min. Antonescu powitała ta agencja, znana jako prasowa tuba naszego M. S. Z., komunikatem, w którym wielbi powrót Rumunji do tradycyjnej polityki stronnictwa liberalnego, którą określa jako „szlachetne dążenie do oparcia podwalin rumuńskiego życia narodowego przedewszystkiem na rodzimych, własnych siłach", co w polityce zagranicznej wyraża się „w dążeniu do układania stosunków z innemi narodami zgodnie z najwyższemi wskazaniami rzeczywistej rumuńskiej racji stanu": Przeciwstawia P. I. P. tę politykę polityce „opierania bezpieczeństwa państwa tylko na międzynarodowych rozwiązaniach, co z natury rzeczy wytworzyć musi w psychice narodu oportunizm i osłabiać go moralnie i materjalnie". Wolno się domyślać, że kryje się w tem zarzut przeciw polityce min. Titulescu. Ciepło wita za to P. I. P. nowego ministra Antonescu, „kontynuatora świetnych tradycyj polityki zagranicznej partji liberalnej", która to polityka „była zawsze rękojmią zdrowego rozwoju przyjacielskich i sojuszniczych stosunków Polski i Rumunji". Nie mamy nic przeciwko ciepłemu powitaniu nowego ministra. Wolelibyśmy natomiast w komunikacie półoficjalnym nie widzieć szpilek pod adresem dawnego. A nuż min. Titulescu wróci nie tylko do zdrowia w spokojnej Szwajcarji, ale i do władzy w swej, dość często zmieniającej rządy, ojczyźnie? Jak wtedy będzie wyglądała P. I. P. ze swoim komunikatem? Nie sądzimy, aby szczytem zręczności politycznej było opieranie przyjaźni i sojuszu na jednej partji, choćby tak dojrzałej i zasłużonej, jak liberałowie rumuńscy.

Zwycięstwo międzynarodowej moralności

Z dwu punktów widzenia można oceniać decyzję Zgromadzenia Ligi Narodów, uznającą ważność mandatów delegacji abisyńskiej: z punktu widzenia moralności międzynarodowej i z punktu widzenia oportunizmu politycznego. Z tego pierwszego punktu widzenia była ona niewątpliwie rehabilitacją Ligi, dla której moralność i prawo muszą stanowić podwalinę istnienia. Przyjęcie zasady siła przed prawem i uznawanie bez protestu faktów dokonanych byłoby końcem instytucji genewskiej, która nie rozporządza innym autorytetem, jak tylko moralnym. Z punktu widzenia oportunizmu politycznego zdania mogą być podzielone, wbrew jednak pesymistom sądzimy, że nawet z tego punktu widzenia decyzja Ligi była i mądra i słuszna. Powinna ona otworzyć oczy Włochom, i nie tylko Włochom, na fakt, że są granice, poza które wyjść nie można i że istnieje opinja publiczna, która ma coś do powiedzenia. Wbrew pesymistom też ani Włochy nie wystąpiły z Ligi, ani nie przeszły definitywnie na stronę Niemiec. Przeciwnie — trudno oprzeć się wrażeniu, że Liga, stanowcza i zdecydowana w obronie moralności, nabrała ceny, a zbliżenie z Anglją i Francją jest bardziej konieczne, niż szantaż uprawiany na spółkę z Niemcami. Giętkość karku i kompromisowość nie budzą szacunku. Kto wie, czy męska decyzja w sprawie abisyńskiej nie będzie początkiem odrodzenia Ligi.

Blok demokratyczny

Kto uważnie przeczytał mowy na Zgromadzeniu Ligi ministrów Edena i Delbosa, ten wyczuł w nich ton nowy, ton solidarności państw demokratycznych. A równocześnie porozumienie walutowe Anglji, Stanów Zjednoczonych i Francji, do którego już przystąpiły Szwajcarja i Belgja, a przystąpi jeszcze zapewne kilka innych państw, stworzyło podstawę pod współpracę gospodarczą, opartą na zasadach większego liberalizmu, sprzeczną z tendencją autarchiczną państw totalnych. Jest to również pewne novum. Demokracja i liberalizm, którym przedwcześnie śpiewano requiem z niejednej strony, podnoszą głowę i organizują się. A że państwa, które pozostały im wierne, stanowią nie lada potęgę na świecie, przeto rośnie siła, z którą będzie musiał liczyć się i komunizm i faszyzm.

Przypomnienia...

Bonaparte i proskrybowani

(L) Bywają dyktatorzy, zaczynający od tępienia przeciwników: masowemi rzeziami (à la Marjusz), proskrypcjami (à la Sulla); bywają inni, idący drogą zgnębienia ich fizycznego i moralnego. Dzieje się to zazwyczaj, gdy dyktatura wyłania się z walki klas, stronnictw, sprzysiężonych lig, w drodze jawnej czy tajnej wojny domowej. Bywa przecież inaczej. Taki odmienny przykład dał Bonaparte, gdy przez zamach stanu (bezkrwawy, nieskompromitowany aktami zemsty na oponentach) stał się wodzem narodu. Fouché proponował mu proskrypcje. On poszedł w przeciwnym kierunku: rozbrajania niechęci i nienawiści. Wrócili z wygnania przywódcy polityczni, proskrybowani wskutek poprzednich walk wewnętrznych: umiarkowani republikanie, jak wielki Carnot, jak Barthélémy, skrajni jakobini, jak Barère i Vadier. A niebawem przyszły skreślenia z list proskrybowanych emigrantów dziesiątek tysięcy rojalistów. Bonaparte likwidował emigrację polityczną w jedyny godziwy sposób: bez układów i targów, masowo, kilku pociągnięciami pióra. Bo celem jego było zespolenie narodu, a miał generalny dar jednoczenia i zespalania. Niedarmo mówił o sobie: »Nie należę do żadnej z fakcyj, które rozdzielały dotąd naród francuski, jestem narodowym«.

Warto nad tem zastanowić się, zwłaszcza tam, gdzie szuka się dróg zespolenia narodowego, a są z emigracją polityczną kłopoty. I o tem także, że Bonaparte nie bał się Carnotowi oddać ministerstwa wojny, a rywalowi w popularności i sławie, niechętnemu mu generałowi Moreau, dowództwa największej z francuskich armij.

Sprawa nie tak prosta.

(M) Jest skłonność do symplifikacji zagadnienia cezaryzmu czy napoleonizmu. Do degradowania takiego naprzykład generała Bonapartego do roli szczęśliwego i sławnego żołnierza-uzurpatora, który władzę we Francyi zagarnął i narzucił jej na długie lata swoje samowładztwo, a usiłował narzucić je światu.

Zjawisko dziejowe, któremu na imię Bonaparte, jest nieskończenie bardziej złożone. Był Napoleon wielkim «budowniczym» (świeża książeczka Madelina o nim w cyklu «Les constructeurs»). Był współtwórcą wielkich przeobrażeń społecznych, nie francuskich już tylko, ale europejskich (zobacz niezrównaną syntezę jego roli dziejowej przez Mickiewicza w «Trybunie Ludów»). Był między innymi oswobodzicielem chłopów polskich, a wdzięczność ich, jak zwierzał się w biuletynie, «była słodką rozkoszą dla serca cesarza». Ale idzie o co innego: o jego stosunek do prawa. W tej chwili leży przed nami nowy zeszyt «Revue des Études Napoléoniennes», wspaniałego miesięcznika, wydawanego od 25 lat przez sędziwego dziś Edwarda Driault, z kapitalnym jego szkicem o stosunku płomiennego republikanina, Armanda Carrel do Napoleona. Dużo tam, nawiasem mówiąc, o Polsce, jak wogóle w tej zbyt mało u nas czytanej «Revue». Ale jest też artykuł Carrela z 1830 r. z żądaniem sprowadzenia zwłok Napoleona: «Bonaparte — pisze młody republikanin — przyszedł nam, jak Kromwel Anglikom, w chwili, gdy potrzebowaliśmy kogoś, ktoby potrafił nie tyle stanowić prawa, bo prawodawców nie brak, ale nakazać posłuch prawom, jakiekolwiekby były. Historja, jeśli my będziemy niewdzięczni i zapomnimy, historja powie, że on był jednak prawodawcą, on, cudowny młody żołnierz, który dotąd rozważał tylko na polu bitew. Zapewne, zastrzegł rozległe pole dla władzy i tak było trzeba, gdyż Francja nie szemrała i odczuwała toż samo szczęście, to samo zadowolenie z powodu, że jest rządzoną, jakiego zaznała w 89 roku, gdy po raz pierwszy zakosztowała wolności... Dziś zrobionoby to lepiej; ale o ileż gorzej można było to zrobić wtedy, tak blizko wspomnień i okropności Rewolucji! Jakże łatwo było ulec uczuciu ogólnemu, żądającemu tylko porządku... Nauczyliśmy się od Bonapartego kochać porządek, być posłusznymi prawu, a przez to z kolei dojrzelismy do stanowienia praw. Oto, cośmy mu winni, a to największa może usługa, jaką jakikolwiek człowiek nam kiedykolwiek wyświadczył...»

Warto rozważyć w tym związku miejsce prawa w twórczości dziejowej Napoleona i strzec się upraszczania zjawisk dziejowych i dziejowych zadań.

Jakich miał Napoleon prefektów...

(L) W końcu 1813 r. ofiarą tyfusu, szalejącego w fortecach nadreńskich, padł w Moguncji prefekt tamtejszego departamentu, zwanego Mont-Tonnerre, baron Jean Bon de Saint-André. Był to 85-letni starzec: Napoleon nie odmładzał zbytnio administracji. Po dwóch przeszło latach, już pod pruskim rządem, w myśl uchwał rady miejskiej postawiono temu prefektowi zaborczego mocarstwa nagrobek z napisem: »Pod pomnikiem tym, jak on skromnym, wśród tych, których kochał... spoczywa«..., (następuje nazwisko i tytuły). Tym Niemcom, którzy to uchwalali, nie zależało przecie na względach zmarłego prefekta, wygnanego ministra, więźnia-cesarza, Francuzów, od których oddzieliły ich słupy graniczne. Byli poprostu przez tego starca, prawego, dobrego, dbałego, podbici na dłużej, aniżeli przez zwycięskie bagnety francuskie. Ale zapamiętać godzi się tu głównie tę wdzięczność rządzonych dla rządcy, która przetrwała zgon i zupełną czasów odmianę. Chciałoby się szukać takich »prefektów« i tak wdzięcznej im ludności gdzieindziej, bliżej w czasie i w przestrzeni szukać z latarnią Djogenesa...

Mobilizacja moralna i Waterloo

(M) Problemat duchowej mobilizacji narodu na potrzebę wojenną, postawiony niedawno przez Inspektora Generalnego naszyeh sił zbrojnych, nie schodzi z łam »Polski Zbrojnej«, znajduje odgłos w innych pismach, porusza opinję. Czem jest moralna strona mobilizacji, na to wskazał świeżo w studjum o »Mobilizacji 1813 r.«. (Revue des Etudes Napoléoniennes, lipiec) major Jean Regnault. »W dziesięć dni, 125000 ludzi, rozrzuconych od Lille po Metz, Laon i Paryż, zebrało się bez żadnego prawie zacięcia się maszyny na centrum, realizując jeden z najpiękniejszych manewrów strategicznych cesarza. Jeśli jednak genjusz wojskowy wodza pozostał nietknięty, jakimże musiał być stan jego ducha? Od dwóch miesięcy usiłował zgalwanizować kraj, dyktował zarządzenia, ażeby wykuć narzędzie wojskowe niezbędne do zwycięstwa. A jeśli znajdował poświęcenie fanatyczne i bezwzględne u jednych, to widział zarazem, jak za nim wybucha bunt, widział bierność dwóch trzecich departamentów i, co ważniejsza jeszcze, wrogość tajną wyższych klas narodu. Moralne załamanie się nie daje się powetować. Brakło cesarzowi uniesienia kraju, a tego nie mogły zastąpić ani najdoskonalsze zarządzenia organizacyjne, ani poświęcenie się kadry zawodowej, ani genjusz wojskowy Wodza. Jeśli w przygotowaniu kampanji był godnym siebie, to nie miał jednak za sobą narodu i pogrom pod Waterloo stał się niepowetowanym przez niezwłoczne załamanie się siły moralnej kraju. Lekcja to historji zawsze aktualna i nie jest rzeczą zbyteczną rozważyć ją dzisiaj«. Tyle major Regnault. My dodamy: Nie tylko we Francji.

Różne bywają strzępy.

(M) W recenzji ze «Strzępów meldunków» gen. Składkowskiego («Nowa Książka», nr. 7 z b. r.), napisanej, rzecz jasna, z powinnem uwielbieniem, p. Pobóg-Malinowski twierdzi, iż «stosunek autora do Marszałka Piłsudskiego przypomina, a raczej pokrywa się całkowicie z kultem żołnierzy napoleońskich dla wielkiego cesarza». Wśród cech tego kultu podnosi między innemi «bezwzględne, bezgraniczne posłuszeństwo». «Każdy — pisze — najbardziej nawet bezwzględny rozkaz zostanie wykonany, każde życzenie zostanie spełnione bezzwłocznie, bez najsłabszego odruchu, sprzeciwu, bez zastanawiania się, bez szukania odpowiedzi na pytanie — poco czy naco... Uwielbiam i nie staram się zrozumieć...» Czy charakterystyka t- jest trafna, gdy idzie o psychologię «Strzępów», w to nie będziemy się wdawać. Poprzestaniemy skromnie na stwierdzeniu, że co do żołnierzy napoleońskich p. Pobóg-Malinowski jest w błędzie. A raczej, że nic o nich nie wie. Nawet tego, że napoleońscy kaprale i sierżanci (nie mówiąc o oficerach) nazywali się «g r o g n a r d s», od słowa «g r o g n e r», które wcale nie harmonizuje z zasadą «nie starać się zrozumieć», «nie zastanawiać się» (tłumaczenie z rosyjskiego, n i e r o z s u ż d a t) a świadczy przeciwnie o wybujałym zmyśle krytycznym, nie szczędzącym, jak wiemy dowodnie, «małego kaprala», a właściwym dzieciom rewolucji, ludziom o bardzo mocnem poczuciu wolności osobistej i godności. Ten krytycyzm godził się jakoś i z uwielbieniem i z przywiązaniem.

A współpracownicy cesarza, ministrowie, generalicja? Mniej tam uwielbienia, mniej przywiązania. Tem wybujalszy krytycyzm, często ordynarnie pyskujący (jak u kaprali i sierżantów), częściej tłumiony przez wyrobienie towarzyskie i służbowe, ale wybuchający przy okazji w oczy największego z wodzów i z mocarzy świata. Nie jest bez znaczenia, co o tem pisze Caulaincourt, jeden z ludzi najbliższych cesarzowi, a zdradzający go najniegodziwiej, w pamiętnikach, mających wybielić autora kosztem Napoleona: «Przy różnych formach, zależnych od charakteru i obyczaju każdego, wszędzie przecież, do jakichkolwiek drzwi zapukałby cesarz, pewny był, że znajdzie, jeśli zapyta, prawdę, raczej nawet przykrą prawdę, aniżeli po-

chlebstwo. Sława, czy że byli ludzie jej syci, czy że rozsądek kazał strzec się jej uroków, nie oszołomiła nikogo. Ludzie pozostali trzeźwymi i przedewszystkiem dobrymi Francuzami. Trzeba powiedzieć to ku sławie cesarza, że jego to bezstronność, stałość zaufania uchylająca intryganta, niepomału przyczyniły się do rozkwitu i stałości tych szlachetnych uczuć... Cesarz zmienił charakter narodowy. Francuzi stali się poważni; ich zachowanie poważne; wielkie zagadnienia czasu przejmowały wszystkie umysły; prywata milczała; uczucia były, można to stwierdzić, patrjotyczne; wstydzonoby się okazywać inne. Ludzie, otaczający cesarza, uważali za punkt honoru, żeby mu nie pochlebiać. Niejeden afiszował nawet potrzebę mówienia mu prawdy, choćby z ryzykiem, że rozbudzi niezadowolenie, To był charakter epoki... «Opozycja, jaką cesarz dostrzegał, nie zmniejszała niczyjej gorliwości, ani poświęcenia...»

Jakkolwiek było z pobudkami tej «opozycji» u poszczególnych ludzi — niezawsze były idealne — to jedno trzeba stwierdzić, że przekazane przez Caulaincourta na setkach stron jego pamiętników «strzępy» rozmów z Napoleonem nabierają dla czytelnika polskiego szczególnego znaczenia.

Z przed 40 lat

W on czas Robotnik był redagowany i drukowany osobiście przez św. p. Józefa Piłsudskiego. Artykuły programowe były przeważnie Jego pióra. Oto cytaty z Robotnika o znaczeniu nieprzemijającem:

Nr. 12 z dnia 23. XII. 1895 r.

«...Niewolnik jest niewolnikiem nietylko dlatego, że ma pana nad sobą, lecz i dlatego, że pana tego uznaje«.

Nr. 25 z dn. 12. XII. 1897 r.

»...Dalej, z praktyki rząd wie dobrze, że jeżeli kule karabinowe i krew przez nie przelana gaszą narazie iskierkę jawnego niezadowolenia w danem miejscu, to z całą jaskrawością wrażają się ludziom w pamięć i gorącym oddechem walki otwartej rozdmuchują pożar gdzieindziej«.

Z artykułu Aleksandra Świętochowskiego p. t. „Przeciw naturze"

(z dnia 4. VIII. 1935 w „Prosto z Mostu" Nr. 32):

«W innem położeniu jest Mussolini, Lenin, Stalin, Hitler. To nie są dynaści, ani półbogi, ani ćwierćbogi, ani nawet jednoprocentowe bogi, lecz zwykli pospolitacy, ze zdolnością derwiszów, umiejących wyzyskać nastrój, zahipnotyzować tłum i po jego plecach wskoczyć na najwyższe stanowisko. Ażeby się na niem utrzymać, niezbędne są dwa środki — kult i terror.

. . . .

Tron monarszy drży tylko od wielkich wstrząśnień i rozpada się od gromów; fotel »męża opatrznościowego« chwieje się od byle podmuchu i może się przewrócić od jednego pchnięcia. Chociaż ten mąż słyszy od swych niemilknących w zachwycie wielbicieli i sam to powtarza, że jest oblubieńcem całego narodu, jako działacz praktyczny i przezorny woli otoczyć się pancerzem tajemnych stróżów, rządzić za pomocą wojska i policji. Wszystkie, a przynajmniej ważniejsze stanowiska w państwie obsadza temi dwoma żywiołami z powiększoną władzą, ludźmi, którzy mu służą, lub którzy go się boją.

. . . .

Ze wszystkich słodyczy życia zbiorowego najsłodszą dla większości ludzi jest władza. Nieskrępowana możność rozkazywania tysiącom i miljonom «podwładnych», poczucie siły śród upokorzonej słabości, zajmowanie stanowiska ponad prawem i nadawanie mocy prawa najzuchwalszej samowoli—bezkarność nadużywania przywilejów — jest to rozkosz, która nawet głupca przejmuje świadomością, że jest nadczłowiekiem.

Jak dalece zaś władza upaja, odurza, przetwarza ludzi, świadczy fakt, że wszyscy obecni dyktatorzy są byłymi socjalistami, to jest przeciwnikami samowładztwa.

. . . .

Państwo staje się wielkim obozem dla uprzywilejowanych i wielkiem więzieniem dla skazanych na karę za pragnienie wolności«.

FELIKS MŁYNARSKI

Co robić ze złotym?

Ogłoszone równocześnie w Paryżu, Londynie i Nowym Yorku trójporozumienie państw gospodarczo przodujących stanowi punkt zwrotny w walce z kryzysem światowym, kładąc tamę dotychczasowej anarchji walutowej. Mocą tego oświadczenia Anglja i Ameryka zobowiązały się nie obniżać głębiej swych walut, co równa się ich stabilizacji de facto na obecnym poziomie. Stanowi to kręgosłup nowej sytuacji. Włączono równocześnie franka francuskiego w system współpracy angielsko-amerykańskiej, — włączono za cenę dewaluacji na poziomie leżącym gdzieś między 25,19 i 34,35% dotychczasowej wartości kruszcowej franka. Zobowiązano się zarazem bronić stworzonego trójkąta i wezwano ogół państw innych do współdziałania nad przywróceniem pokoju walutowego i stopniowem rozluźnianiem więzów, krępujących handel międzynarodowy.

Zgodnie wreszcie z zasadą współpracy pokoju walutowego zostawiono wszystkim wolną rękę w wyborze stopnia dewaluacji, gdyby gdzieś istniała, jak we Francji, potrzeba takiej reformy. Pod warunkiem jednak, że ów stopień ewentualnej dewaluacji nie przekroczy granic, zakreślonych przez faktyczną dysproporcję poziomów cen, ponieważ przekroczenie takiej granicy stwarzałoby nową dysproporcję i byłoby raczej aktem wrogim, zamiast pokojowym.

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że powyższy program oznacza zwycięstwo angielskiej polityki walutowej. Rzecz się ma inaczej. Anglja podczas ubiegłych trzech lat odmawiała zgody na stabilizację funta na obecnym poziomie, zanim reszta walut nie zdeprecjonuje się jedna po drugiej i nie znikną barjery, krępujące handel międzynarodowy. Dodatkowym argumentem był wzgląd na wyścig zbrojeniowy i groźby wojenne. Powyższe warunki wcale się nie spełniły. Mimo to, Anglja zmieniła front. Jest to więc nie tyle zwycięstwo tezy angielskiej, ile raczej myśli genewskiej, propagującej stale zasadę współpracy międzynarodowej nad stabilizacją walut, nie czekając wyjaśnienia się horyzontów politycznych, złożenia broni przez blok złoty i zlikwidowania wszelkich restrykcyj czy reglamentacyj, utrudniających handel światowy.

Nie przesądzając dalszego biegu zdarzeń i szans inicjatywy, podjętej przez trójporozumienie, należy zdać sobie sprawę z wpływu nowej sytuacji międzynarodowej na los złotego. Co Polska ma uczynić dzisiaj? Pytanie takie słyszy się na każdym kroku i nic w tem dziwnego.

Szukając odpowiedzi, należy kierować się zasadami trójporozumienia. Gdyby więc dewaluować złotego, należałoby wybrać stopień, zgodny z owemi zasadami. A więc stopień ów nie powinien przekraczać faktycznej dysproporcji między naszym poziomem cen w złocie i poziomem w krajach anglosaskich. Gdybyśmy złotego zdewaluowali znacznie więcej, byłby to akt wrogi, — akt, stwarzający możliwości dumpingowe, a więc akt, przeszkadzający nowemu kierunkowi współpracy międzynarodowej.

Nasz poziom cen hurtowych w złocie wynosił w czerwcu r. b. 56, przy podstawie 1929 r. jako 100. Poziom cen angielskich, liczony w złocie, wynosił w czerwcu 50, podobnie jak i amerykański. Dzisiaj rozpiętość jest nieco mniejsza, ponieważ od czerwca ceny w Anglji i Ameryce silniej zwyżkowały, aniżeli u nas. Nie mamy jeszcze ostatnich wskaźników, ale dysproporcja między Polską i krajami anglosaskiemi nie wynosi więcej, niż 5 punktów na naszą niekorzyść. Dla Francji taka dysproporcja wynosiła w czerwcu r. b. 10 punktów, dla Szwajcarji 15, dla Holandji 12 punktów. Sytuacja więc nasza przedstawia się lepiej, niż reszty państw bloku złotego.

Przypuśćmy teraz, że, idąc za owczym pędem, chcemy dewaluować złotego. Stopień więc dewaluacji winienby odpowiadać owej dysproporcji cen, wynoszącej jakieś 5 punktów, czyli nie powinien przekraczać 10%. Przewidując szybszy wzrost cen po dewaluacji i antycypując ów wzrost, możnaby myśleć co najwyżej o 15%, jako granicy dopuszczalnej dewaluacji. Gdyby zaś oprzeć się nie na relacji wskaźników cen hurtowych, lecz na stosunku tego wskaźnika do kosztów utrzymania u nas i w Anglji, to należałoby obniżyć złotego nie o 10%, lecz jeszcze mniej.

Czy się to więc opłaci?

Z całą pewnością nie. Tendencja zwyżkowa cen w krajach przodujących gospodarczo jest szybsza, niż u nas, czyli dysproporcja obecna ma szanse wyrównania i bez dewaluacji. W miarę zaś, jak owa dysproporcja będzie zanikać, nasz eksporter będzie inkasować wyższe ceny w złocie, czyli premję wywozową będzie czerpać w złocie z kieszeni cudzej, a nie w papierze i z kieszeni współobywateli. Gdyby bowiem dewaluować złotego, premja walutowa będzie wypłacana przez Bank Polski kosztem tych, co na dewaluacji stracą. A straci przedewszystkiem

świat pracy, warstwy urzędnicze i robotnicze, których zarobki i tak są już na poziomie głodowym.

Nie przemawia również za dewaluacją złotego nadzieja na dopływ kapitału zagranicznego, jako nagroda za taki krok. Przedewszystkiem dla państw przodujących nie będzie dewaluacja złotego czemś aż tak ważnem, aby poczuwały się do jakiejś wdzięczności, czego zresztą w realnem życiu nie było i niema. Ponadto wchodzą w grę dwa względy znacznie ważniejsze. Po pierwsze w Anglji nadal obowiązuje embargo na eksport kapitału, podobnie jak i w Ameryce niema jeszcze wolności udzielania pożyczek zagranicznych. Po drugie u nas obowiązują coraz ostrzejsze przepisy dewizowe i zakaz transferu obsługi długów już zaciągniętych. W warunkach tego rodzaju absurdem jest liczyć na większy i swobodny dopływ kapitału zagranicznego w nagrodę za dewaluację.

Przy naszym zapasie złota i dewiz, zapasie bardzo skromnym, nie widać jeszcze możności zniesienia reglamentacji dewizowej i powrotu do swobodnego transferu, jeżeli idzie o płatność procentów i amortyzacji. Zanim zaś sami zdołamy wzbogacić nasz skarbiec emisyjny, lub zapoczątkowana obecnie kooperacja międzynarodowa stworzy jakieś nadzwyczajne środki pomocy zewnętrznej — w międzyczasie dysproporcja tempa zwyżkowego cen u nas i zagranicą sama zlikwiduje dysproporcję poziomów cen i stworzą się warunki dla korzystniejszej, niż obecnie, wymiany towarowej z zagranicą. Dewaluacja złotego może tylko pokrzyżować naturalny bieg rzeczy.

Decydujące jednak znaczenie winien mieć wzgląd na kapitalizację rodzimą. W okresie niedołężnej, często bezmyślnej deflacji, prowadzonej przez naszych dyletantów koszarowych, wierzyciel polski doznał pierwszej operacji przez akcję oddłużeniową. Czeka go teraz, wobec zwrotu w konjunkturze, druga operacja, ponieważ zwyżka cen będzie redukować siłę nabywczą obniżonych podczas deflacji procentów. I w takim momencie mamy mu zastosować jeszcze dewaluację złotego, jako trzeci zabieg operacyjny? Co zostanie z polskiego wierzyciela, jeżeli nie skóra i kości? Będzie tkwić na arenie, jak kościotrup, odstraszający od oszczędzania w przyszłości. A przecież tylko rodzima kapitalizacja może stać się kluczem, otwierającym bramę do lepszego jutra, ponieważ bez tej kapitalizacji nie zdołamy pogodzić silnego, niezbędnego politycznie przyrostu naturalnego z możliwościami rozwojowemi przemysłu.

Reasumując powyższe, należy przeciwstawić się zarazie owczego pędu, jaki inicjatywa trójporozumienia może wywołać. Są tacy, którzy dewaluować powinni, Polska nie powinna. Nastrojami nie należy się powodować w rzeczach tak wielkiej wagi. I decyzję należy powziąć szybko, zanim owczy pęd ogarnie umysły, zaciemniając jasność i trzeźwość sądu.

Szkoda, że nasza służba zagraniczna niedość wcześnie zorjentowała się w zmianach polityki angielskiej i amerykańskiej. Nie zorjentowała się, pomimo silnego procentu ekspertów wojskowych, na gościnnych występach w zakresie spraw, właściwych dla fachowych cywilów. A może właśnie dlatego nie potrafiono w czas rządu uprzedzić i dać mu możność przygotowania się. Zdaje się bowiem nie ulegać kwestji, że rząd został zaskoczony.

JAN BEZŁASKI

Życie na rozkaz

Człowiek nie może żyć i działać bez wiary, w siebie, w swoją rolę w życiu zbiorowem — a tylko takie jest życie człowieka — choćby najskromniejszą, ale wielką przez to, że Opatrzność to właśnie zadanie mu w życiu wyznaczyła. Nie może też człowiek żyć i działać bez wiary w człowieka wogóle, t. zn. w innych ludzi Chyba... że jest dyktatorem, wodzem — jak to się teraz mówi — szefem państwa totalnego. Wówczas wystarcza mu — ale tego domaga się prośbą i groźbą — jeśli inni wierzą jemu. Dla tego celu rozwija się najbardziej intensywną i pomysłową propagandę, przekonywuje się opornych najróżnorodniejszemi argumentami aż do obozów koncentracyjnych włącznie. Dyktator, wódz, szef państwa totalnego sam nie wierzy w wartości swego społeczeństwa, swego narodu. Inaczej nie mógłby być dyktatorem. Sam fakt istnienia dyktatury, wodzostwa jest stwierdzeniem tej niewiary. Aby to ukryć, stosuje się całą frazeologję, obliczoną na to, aby wmówić opinji publicznej, że właśnie naród pragnie wyzbyć się swej samodzielności i tylko wierzyć i słuchać.

Podobnie jak życie człowieka nie da się podzielić na niezależne od siebie wycinki, tak samo organizacja życia zbiorowego nie może opierać się w różnych dziedzinach na odmiennych kryterjach. Dyktatura, wodzostwo zawsze zaczyna się w dziedzinie politycznej i nieodmiennie dąży do rozszerzenia się na wszystkie inne dziedziny — nie wyłączając religijnej, jak to jaskrawo widzimy w Niemczech i Z. S. R. R. — a przedewszystkiem na dziedzinę gospodarczą. Albowiem bardzo prędko dyktator czy wódz dostrzega, że niezależność gospodarcza jest ważnym filarem niezależności politycznej. A to jest grobem dyktatury.

Ponieważ zaś zagadnienie to jest aktualne w tak wielu krajach, ponieważ w tylu innych rodzą się pokusy wprowadzenia systemów dyktatorsko-totalnych, rozważmy, do czego sprowadza się system wodzostwą, totalizmu państwowego, w dziedzinie gospodarczej.

Powiedzieliśmy, że niezależność gospodarcza jest filarem niezależności politycznej. Sprecyzujmy to: nie chodzi tylko o niezależność samodzielnych przedsiębiorców. Chodzi o skutki dalej idące. Państwo, uzależniwszy od siebie przedsiębiorcę, używa go jako narzędzia nacisku politycznego na pracowników. Wystarczy rozejrzeć się dokoła, aby to jasno dostrzec. Na tem przecież opierają swoją karjerę polityczną nietylko poszczególni ludzie, ale nawet niektóre organizacje zawodowe. I tylko wówczas przedsiębiorca może skutecznie wywierać nacisk polityczny na swoich pracowników, jeśli wszyscy przedsiębiorcy działają jako narzędzie państwa. Wówczas bowiem pracownik ma do wyboru: albo chleb, albo wolność przekonań. Tragiczny wybór.

Aby ten mocny filar gospodarczy podstawić pod własny gmach, państwo totalne musi pod groźbą załamania się totalizmu opanować życie gospodarcze we wszystkich jego odłamach i we wszystkich jego objawach.

Niekoniecznie musi się to odbywać przez «zwykłe» upaństwowienie. «Wystarczy», jeśli wszystkie najważniejsze zagadnienia poddane są dyspozycji państwa: ceny, rozmiary produkcji i zatrudnienia, płace, organizacja, zakup surowców, inwestycje. Wystarczy, a nawet lepiej, bo jest zachowane decorum prywatnej własności, bo w razie niepowodzenia jest na kogo zwalić winę.

Istota rzeczy pozostaje ta sama: za miskę soczewicy sprzedaje się prawo pierworodztwa. Za prawo egzystencji rezygnuje przedsiębiorca ze swobody. Analogja z miską soczewicy jest przytem o tyle nieścisła, że sprzedaż jest przymusowa, a miska często pusta...

Przedsiębiorca, pozbawiony inicjatywy, przestaje być przedsiębiorcą, staje się quasi-urzędnikiem, lepiej lub gorzej wynagradzanym.

Załóżmy teraz — co nie musi być prawdą — że dyktator czy wódz jest stokroć mądrzejszy jako kierownik gospodarstwa narodowego, niż przeciętny przedsiębiorca; załóżmy dalej — co nie jest prawdą — że możliwą jest rzeczą skupić decyzję co do gospodarstwa narodowego w jednych rękach i uniknąć parcelowania jej między poszczególnych ministrów czy «zastępców wodza», z których każdy «urządza» powierzoną mu dziedzinę na własną rękę, zawsze powołując się na autorytet dyktatora czy wodza. Załóżmy nawet—co również nie jest prawdą—że cała machina państwa totalnego zachowuje dostateczną elastyczność jako całość i harmonję między poszczególnemi dziedzinami. Załóżmy wreszcie, że wszyscy z totalizmem państwowym się pogodzili i że dyspozycja wodza lub jego zastępców nie napotykają na opory. Czyż w tych warunkach nie lepsze da rezultaty planowa akcja państwa, skierowana ku dobru powszechnemu, niż anarchiczna i egoistyczna działalność tysięcy samodzielnych przedsiębiorców?

Otóż nawet w tych warunkach — nie. A to dla następujących powodów:

System dyktatury czy wodzostwa sprowadza się do centralizacji. To znowu powoduje; że skala skutków tych decyzyj — zarówno dobrych jak złych — niepomiernie rośnie. Zagadnienie więc sprowadza się do tego, czy większe mogą być korzyści z decyzyj trafnych, czy też większe będą straty z decyzyj nietrafnych. Twierdzimy, że muszą być większe straty niż korzyści. W systemie państwa totalnego odpada bowiem — i odpaść musi — przy decyzjach gospodarczych ten jedynie skuteczny i w porę działający sprawdzian trafności decyzji, jakim jest osobista majątkowa odpowiedzialność właściciela za jego decyzje aż do bankructwa włącznie, t. zn. aż do zniszczenia jego gospodarczej egzystencji. Nie jest rzeczą możliwą włączyć jakiś tego rodzaju sprawdzian w państwie totalnem. Doświadczenie wykazuje, że nawet odpowiedzialność karna — do rozstrzelania włącznie — nie daje gospodar-

czo dobrych wyników. Albowiem rozstrzeliwani są ci, którzy wykonywają decyzje, a nie ci, którzy je wydają. W państwie totalnem nie działa nawet taki sprawdzian decyzyj gospodarczych, jak odpowiedzialność polityczna tego, który decyduje. W Niemczech najszerszym warstwom społeczeństwa brak mięsa, tłuszczów, nabiału, coraz bardziej brak materjałów włókienniczych. Ale kanclerz Rzeszy, wódz, nietylko nie ustępuje ze swego stanowiska, lecz po dawnemu jeździ sobie na wypoczynek do Berchtesgaden. Robotnikowi sowieckiemu brak niemal wszystkiego, brak butów, ubrania, przedmiotów codziennego użytku. Ale «ukochany wódz» pan Stalin nietylko nie ustępuje, lecz po dawnemu jeździ sobie do willi w Gorkach. Ani politycznie, ani gospodarczo żaden z wodzów nie ma na sobie brzemienia odpowiedzialności. I dlatego też nie działają te sprawdziany, jakie w odpowiedzialności tkwią.

Twierdzimy: system dyktatury, wodzostwa, system państwa totalnego musi dawać gospodarczo gorsze wyniki, niż system «anarchiczno-egoistycznej» gospodarki indywidualnej.

* * *

Staraliśmy się przeprowadzić nasze rozumowanie przy założeniach optymalnych dla systemu totalnego. Pominęliśmy też świadomie pozycję moralnie i gospodarczo w tym bilansie bodaj najważniejszą: odarcie człowieka z jego twórczej działalności, sprowadzenie go do roli mniej lub więcej inteligentnego wykonawcy.

A tej straty, moralnej i gospodarczej, żadne sukcesy systemu państwa totalnego ani uzasadnić ani skompensować nie mogą.

B. WERNER

Król Edward VIII

Walka faszyzmu z komunizmem opanowuje coraz to więcej polityczny horyzont Europy, a wojna domowa w Hiszpanji jest namacalnym i jaskrawym wyrazem starcia się tych dwu potężnych prądów współczesnych. I oto w tym okresie czasu na wodach morza Śródziemnego pojawił się jacht, wiozący na pokładzie młodego króla angielskiego.

Edward VIII odwiedził kolejno szereg stolic i odbył konferencje z głowami odnośnych państw. Wizyty te i rozmowy monarchy angielskiego dowodzą być może, że pragnie on wstąpić w ślady swego dziada króla Edwarda VII, który przed ćwierćwieczem nietylko uosabiał w sobie kierunek ówczesnej polityki Wielkiej Brytanji, ale był poniekąd symbolem i reprezentantem nastrojów politycznych Europy. Metody polityczne i sposób podróżowania Edwarda VIII-go mimowoli każą myśli przenieść się do tej niezbyt odległej epoki przedwojennej, kiedy poczynając od połowy wieku dziewiętnastego ustrój konstytucyjno-monarchiczny pozwolił Wielkiej Brytanji na osiągnięcie najwyższej potęgi «państwa światowego», a jednocześnie dał znakomite warunki dla pełnego rozwoju demokracji.

«Konstytucja angielska — mówi Lytton Strachey w swojej «Queen Victoria» — jest czemś nie dającem się opisać, jest rzeczą żywą, która rośnie wraz z człowiekiem, przybiera coraz to inną postać, stosownie do subtelnych i zawiłych praw charakteru ludzkiego. Konstytucja angielska jest wytworem rozumu i rzeczą przypadku. Mądrzy mężowie z r. 1688 nadali jej znaną nam postać, ale dzięki przypadkowi, że król Jerzy I nie znał języka angielskiego, ustrój państwowy uzyskał swą najistotniejszą właściwość — niezależność gabinetu ministrów od głowy koronowanej. Rozum polityczny lorda Greya uratował konstytucję tę przed zniszczeniem i wprowadził ją na drogę demokratyzacji i oto ustrój Wielkiej Brytanji ciągnie dalej swój pełen tajemniczości żywot».

Powyższe słowa Lyttona Stracheya odnoszą się przedewszystkiem w całej pełni do długiego panowania królowej Wiktorji, której biografem jest cytowany autor. Ale niemniej dają się one zastosować do dużo krótszego ale niemniej znamiennego panowania jej następcy — Edwarda VII-go.

Kiedy Edward VII wstępował na tron po śmierci swej matki, wielka była powaga i znaczenie korony w Anglji, którą panowanie Wiktorji podniosło na niebywały przedtem poziom. Król Edward nietylko nie pomniejszył tego splendoru, ale raczej zdołał go jeszcze powiększyć, a to dzięki swym wrodzonym talentom dyplomatycznym i towarzyskim. Właśnie za panowania Edwarda VII pokazała Anglja na żywym przykładzie, a nie drogą abstrakcyjnych rozumowań, jak dalece możliwem jest współistnienie monarchji i demokracji. Istotnie, król Edward VII, arbiter stronnictw, symbol narodu w oczach państw obcych, czynnik stały i bezsporny potęgi państwowej, potrafił znakomicie grać rolę idealnego monarchy konstytucyjnego; rzec można, że przeszedł on do historji jako typowy właśnie przedstawiciel epoki i reżimu, jakiego był uosobieniem.

Podobnie jak jego matka, królowa Wiktorja, rozumiał Edward VII, że tajemnicza siła i znaczenie korony polega na absolutnem unikaniu konfliktów z ludem, wyrazem woli którego jest izba gmin.

Jak wiadomo, z jego działalnością dyplomatyczną łączą powszechnie przedwojenne «okrążenie» Niemiec, jak to również przypuszczał Wilhelm II, a więc pośrednio jedną z przyczyn wojny europejskiej. Ale, jak dowodzą bezpośredni świadkowie, współcześni królowi ministrowie, Balfour i Edward Grey, było to legendą. «Edward VII — pisze Grey — nietylko przyjął zasadę konstytucyjną, że polityka jego powinna być polityką jego ministrów, ale nawet wolał, aby tak było».

Wszystkie powyższe reminiscencje znajdują swój pełny wyraz w niedawno odbytej podróży Edwarda VIII. po odwiedzeniu stolic państw bałkańskich zjawił się młody monarcha w Wiedniu, by tutaj w pełni używać demokratycznych przyjemności życia. Podobnie jak dziad jego, który «lubił: by między nim i jego ludem nie było policji i żołnierzy», wymykał się Edward VIII strzegącym go agentom i odwiedzał jak zwykły śmiertelnik lokale rozrywkowe, i również podobnie jak Edward VII, odwiedził

Kronika Ekonomiczna

(j. b.) W dniu 26 września ogłoszony został jednocześnie w Paryżu, Londynie i New Yorku jednobrzmiący komunikat o porozumieniu trzech państw Francji, W. Brytanji i Stanów Zjednoczonych A. P. w dziedzinie walutowej. Jak zazwyczaj, komunikat nie zawiera bardziej sprecyzowanych zasad porozumienia, które sprowadza się do tego, że W. Brytanja i Stany Zjednoczone A. P. nie przedsięwezmą żadnych kroków ani w dziedzinie walutowej, ani handlowo-politycznej w odpowiedzi na zarządzoną przez Francję deprecjację waluty francuskiej.

Zagadnienie porzucenia parytetu złotego przez Francję — a za nią przez Holandję i Szwajcarję omówimy niebawem w specjalnym artykule. Na tem miejscu ograniczymy się tylko do kilku uwag, które się niejako narzucają.

Deprecjacja franka francuskiego unaocznia, jak bardzo losy waluty zależą od rządu, a jak mało od parlamentu. Jak wykazała dyskusja na komisji finansowej Senatu, Senat francuski jest wyraźnie przeciwny deprecjacji. Jednakże postawiony został wobec faktu dokonanego i mógł się ograniczyć tylko do ujawnienia swego niezadowolenia i przeprowadzenia poprawek, które — acz bardzo istotne — w niczem nie zmieniają samego faktu deprecjacji waluty.

Druga uwaga to ta, że niezależnie od tego, czy deprecjacja franka wyjdzie na korzyść Francji czy nie, niewątpliwem jest, że rząd frontu ludowego dokonał jej pod przymusem wytworzonej przez siebie sytuacji, mianowicie wybitnego pogorszenia konkurencyjności produkcji francuskiej na rynkach międzynarodowych przez zwyżkę kosztów własnych na skutek wprowadzenia szeregu poważnych ciężarów socjalnych. Jeśli zważymy, że jeszcze w czerwcu b. r. premjer francuski zapowiadał, że rząd nie zaskoczy społeczeństwa dewaluacją, a minister skarbu oświadczał się za stabilizacją waluty, to obecna deprecjacja franka jest niewątpliwie dla rządu ciosem politycznym zupełnie wyraźnym. Jest ciosem również dla jego polityki gospodarczej, która do takiej przymusowej sytuacji doprowadziła.

Frank francuski został zdeprecjonowany — a nie zdewaluowany — to znaczy obniżony został kurs waluty francuskiej w stosunku do złota i innych walut natomiast nie został wprowadzony nowy parytet. Rząd proponuje tylko udzielenie mu upoważnienia do ustalenia nowego parytetu później w granicach 43 do 49 miligramów złota 900 próby za jeden frank w porównaniu z dotychczasowym parytetem 65,5 miligrama. W ten sposób frank francuski staje się jeszcze jedną walutą manipulowaną.

Waluta francuska od pewnego czasu nie miała już takiego zaufania, jakiem się przed kilku laty tak słusznie cieszyła. Przyszłość franka francuskiego niepewna i nieokreślona powodowała utrzymywanie się stałego niepokoju na rynkach finansowych, pomimo faktycznej stałości kursów walut formalnie niestabilizowanych, jak funt szterling i dolar. Załamanie się waluty francuskiej może być w tych warunkach początkiem zmian doniosłych w strukturze gospodarczej całego świata.

Rotszylda. Ale wśród zabaw i rozrywek znalazł i tutaj czas na wizyty dyplomatyczne, oczywiście w myśl bieżących wskazówek Foreign Office'u.

Czy o królu Edwardzie VIII-ym można już obecnie powiedzieć to, co mówiono o jego dziadku, że «wykonywał dobrze swe królewskie rzemiosło i że posiadał instynkt pokoju»?

Na to jest jeszcze być może zawcześnie, ale nie ulega wątpliwości, że król jest typowym przedstawicielem dynastji, która w ciągu wieku dziewiętnastego potrafiła wydać szereg monarchów, uosabiających w sobie charakterystyczne cechy konstytucyjnego panującego. Z tego rodu Koburgów wyszedł był przedewszystkiem Leopold I król belgijski, który powołany na tron na podstawie konstytucji z r. 1831, był pierwowzorem nowoczesnego monarchy, podobnie jak ta konstytucja belgijska była pierwowzorem dla późniejszych konstytucyj europejskich, a jak dowodzi Seignobos, ten polityczny ustrój stał się właśnie podstawą i warunkiem wszechstronnego rozwoju państwowego.

Z tegoż domu Koburgów pochodziła królowa Wiktorja i jej małżonek książę Albert i syn ich Edward VII. Wszyscy ci monarchowie reprezentują ów zasadniczy typ głowy państwa konstytucyjnego i demokratycznego, tak bardzo charakterystycznego dla ostatnich stu lat historji Europy. Być może, że w stworzeniu tego typu królewskiego pewną rolę odegrał przypadek, dając domowi Koburgów, poczynając od Leopolda I, a kończąc na Edwardzie VII, skromnego lekarza przybocznego Stockmara w roli wychowawcy i doradcy politycznego, i temu być może przypadkowi, temu Mazariniemu dynastji zawdzięcza Wielka Brytanja swój tak do potrzeb i warunków wielkiego państwa nowoczesnego przystosowany typ panującego.

Stosunek, jaki ma miejsce między tym typem monarchy a jego ludem, niezmiernie mocno odbiega od tego, jaki współczesne nam ustroje autorytatywne zaprowadzają między «wodzem» a społeczeństwem. Ten nieodpowiedni i obustronnie demoralizujący stosunek między dyktatorem a ludem odgrywa bezwarunkowo pierwszorzędną rolę we wszystkich objawach chorobowych, jakie wykazują ustroje państw, nieposiadających państwowej tradycji demokratycznej.

To też dobrze jest rzucić okiem wstecz i uprzytomnić sobie, jak radziły sobie i radzą państwa i narody, które już dawno potrafiły rozwiązać z powodzeniem trudne zagadnienia ustrojowe.

Sprawozdanie z obozu niewoli

O wyrokach sądowych wiedzą wszyscy. O represjach administracyjnych w jakimś kraju można dowiedzieć się wyłącznie z prasy zagranicznej. Niemiec mało wie o obozie koncentracyjnym w Dachau, Rosjanin o sołowieckiem piekle, Włoch o wyspach poprawczych. Ale my, zagranica dla nich, możemy poznać metody teroru państwowego, który, w istocie swej jednaki, różni się kolorytem lokalnym. Niewątpliwie najbardziej pouczające są wzory organizacji niemieckiej.

Zapewne owa słynna niemiecka systematyczność, nawet w przejawach samowoli partyjnej, przyczyniła się do tego, że korespondent „Kurjera Warszawskiego" dr. J. Rogowicz otrzymał zezwolenie na zwiedzenie obozu odosobnienia w Dachau. Niemcy chcieli pochwalić się porządkiem, umiejętną pedagogiką w stosunku do nieprawomyślnych, wolą państwa twardą i świadomą celów. Pokazali więc obóz. A dr. Rogowicz, jak sumienny dziejopis, zarejestrował fakty, ustalił dokumenty, opowiedział z możliwym objektywizmem to, co widział i słyszał.

Wrażenie z tych sprawozdań jest straszne. Jeśli całość ukaże się w broszurce, a powinna się ukazać, jeśli będzie przetłomaczona na języki obce, a powinna być przetłomaczona, to taka broszura stanie się sensacją Europy w XX wieku. Poniżej podajemy kilka wyjątków, które są wymowniejsze od wszelkich komentarzy.

Przed obozem stoi drogowskaz zrobiony przez więźniów:

„Nawet człowiek, nie znający niemieckiego, odrazu zrozumie, dokąd wskazywana droga prowadzi. Zwykłą deskę zastąpiono wykutą w kamieniu barwną podłużną płaskorzeźbą. Na niej „pokazano" to, do czego droga prowadzi. Jakiś osobliwy pochód ludzi o zbrodniczych rysach i swawolnych postaciach, jak gdyby przyginanych do ziemi przez surowo karzącą dłoń czarno umundurowanych figur z karabinami".

Dalej wieża. Na szczycie wieży:

„Dwa kulomioty, wycelowane na wioseczkę internowanych, gotowe ją zniszczyć w ciągu kilkunastu sekund".

Bo w takim obozie nie obezwładnia się niezadowolonych, lecz niszczy. Straż nie jest państwowa, lecz składa się z funkcjonarjuszów partji rządzącej. Zresztą, cały obóz otoczono drutami.

— Czy drut jest naelektryzowany? — zapytałem.
— Tak. 450 wolt.

A później rozmowy z więźniami. Krótkie samooskarżenia. Odpowiedzi na stereotypowe: za co?

— Zdawało mi się, że rząd postępuje nieopatrznie, że to nas może zrujnować, mówiłem to...

— Na jakiemś zgromadzeniu czy...?
— Nie — wpadł mi w słowo — w restauracji do przyjaciół.

Inny już odbył karę sądową za agitację, ale komendant wyjaśnia:

— Tak, tam odbył karę, a tu jest dla poprawy, dla należytego wychowania...

. . . .

— Dawno pan tu jest?
W oczach miał jakąś nawet tutaj wyjątkową beznadziejność.
— Dwa lata.
— Ma pan rodzinę? Jakże ona sobie radzi podczas tak długiej rozłąki?
— Jestem rozwiedziony — powiedział półgłosem.
— Był pan rozwiedziony, gdy pana uwięziono?
— Nie, byłem wówczas żonaty; przyjechał kiedyś notarjusz i oświadczył mi, że żona moja domaga się rozwodu. Żąda mojej zgody.
— I dał pan?
— Nie mogłem jej krępować. Cóż ja...

. . . .

— Za co pana zamknięto po raz drugi?
— Za to, że mówiłem, jak jest w obozie. Przedstawiłem sytuację, oczywiście, w sposób złośliwy — dodał szybko.

— Gdzie pan to mówił?
— Znajomym.
— Widzi pan — rzekł jeden z oficerów — zawiedliśmy się; byliśmy za liberalni, wypuszczając go przedwcześnie.

. . . .

— Za co pan tu siedzi?
— Za wyśmiewanie regime'u — odrzekł cicho.
— Cóż pan mówił?
Chory zawahał się.
— Niech pan mówi, przecież my i tak wiemy — mruknął komendant z jakąś dziwną u niego rezygnacją.
— Mówiłem o Führerze...
— Co?
— Że nie jest artystą malarzem...
— To jest obraza?
— Że jest malarzem, ale nie artystą..
Naokoło zapanowała przejmująca cisza. Czuło się, że każdy z obecnych — i więźniowie i oficerowie i sanitarjusze woleliby nie być nawet obecni przy tej rozmowie.
— Czyż to może być obraza? — powtórzyłem. — W ustach tego nieszczęśliwca?
W izbie panowało ciężkie milczenie.

W jednym z baraków wisi portret Hitlera, wymalowany przez więźniów. Następuje rozmowa z komendantem:

— Należy stąd wnosić, iż ludzie, którzy zrobili to, co tu widzimy, są już zwolennikami nowego regime'u.
— Naogół tak...
— Więc dlaczego tu pozostają?
— Chodzi o to, by ich wychowanie zostało zakończone. Niewątpliwie, będziemy ich po trochu zwalniać.

Okazuje się, że obraz malowali także komuniści.. poprawieni. Poprawieni przez następujący porządek dnia:

Wstaje się o 5.30. 5.45—6.30 śniadanie, 6.45 wymarsz do pracy. Praca jest w polu lub w lesie na terenie szerszego obozu (poza odrutowaniem). Trwa do godz. 11-ej. 11.15—12 obiad. 12—1.15 wolny czas. 1.15 wymarsz do pracy. Praca poobiednia trwa do 5.30. Potem kolacja. 7.30 — pierwszy gwizdek, znak, by się rozbierać. 8 — drugi gwizdek: znak, by zgasić światło. Kto po drugim gwizdku wyjdzie z baraku, będzie ukarany; jeśli wyjdzie więcej, niż jeden i nie zatrzymają się — strzał w powietrze, potem „w łeb".

Tak wygląda zewnętrznie wzorowy system musu. Gwałt cywilizowany.

R. S.

ANDRZEJ ZIEMIĘCKI

Krok wstecz

Parę lat temu Akademja Paryska wydała gramatykę języka francuskiego, nad którą pracowano przeszło trzysta lat. Po wydaniu miljonowego nakładu, okazało się, że gramatyka zawiera kilka drobnych błędów w niesłychanie subtelnych odcieniach języka. Wówczas natychmiast wycofano cały nakład i zabrano się ponownie do pracy. Naród Racine'a, Flauberta, France'a zbyt umiłował mowę ojczystą, aby przeważyły względy prestiżowe wobec Akademji, finansowe wobec wydawnictwa, lub psychologiczne wewnątrz i zewnątrz kraju.

Kiedy w Polsce uchwalono reformę ortografji, to większość polonistów, filologów, prawników (jako rzeczoznawców prawa obyczajowego) i przytłaczająca większość społeczeństwa zajęła stanowisko bardzo krytyczne. Niemniej jednak naogół zastosowano się do zmian w imię... dyscypliny. Żeby nie było anarchji.

Poprzestając na zestawieniu dwu powyższych faktów, otwieramy łamy naszego pisma dla specjalistów bądź przeciwników, bądź zwolenników reformy. **(Red.)**

Pisownia zwie się z grecka «ortografją», co się tłumaczy dosłownie «prawidłowe pisanie». To bliższe określenie «orthos» — prawidłowy, słuszny — wydawałoby się może poniekąd pleonazmem, gdyby nie ścisłość Greków w określaniu pojęć oderwanych i ich dokładność w dobrze obmyślanych definicjach.

Na czemże ta słuszność pisowni ma polegać?

Jedynem kryterjum, które uwzględnia warunek słuszności i prostoty w pisowni jest teza: «pisz tak, jak się powinno wymawiać». Przyjmując ją za podstawę,

powierzylibyśmy pisowni zadanie, do którego jest w pierwszym rzędzie powołaną: stania na straży czystości języka. Jakże daleko stan dzisiejszy odbiega od tego postulatu!

Homeryckie boje ortograficzne rozpoczęły się przed czterdziestu przeszło laty rewolucją Kryńskiego. Śmiała i dziwaczna dla niektórych oczu jego reforma grzeszyła zbytniem zapatrzeniem się w fonetykę, biorąc za punkt wyjścia wymowę niezbyt wybredną. Między «tłuc» a «módz» istnieje napewno różnica, jeżeli nie w samej wymowie (choć wymowa precyzyjna ją uwzględnia), to — w poczuciu wymowy. Kryńskiego innowacje zwulgaryzowały pisownię i głównie dlatego natrafiły na nieprzejednane stanowisko szkoły krakowskiej na zjeździe Rejowskim. W każdym razie Kryński niektóre swe zasady przeforsował i kompromisowy słowniczek Łosia wykazuje pewien postęp w kierunku ujednostajnienia pisowni.

Wyczuwano powszechnie, że obowiązujące przepisy ortograficzne nie są tem, czem być powinny; że zwłaszcza nauczyciel w szkole nie może sobie dać rady z uzgodnieniem wymowy i pisowni i ma z tego powodu niebywałe trudności. Pragnąc temu zaradzić, Ministerstwo W. R. i Oświecenia Publicznego powołało do życia Komitet Ortograficzny z zaleceniem «możliwie daleko idących uproszczeń». Komitet obradował przez dwa lata, a jego uchwały z kwietnia b. r. już w czerwcu uzyskały zatwierdzenie Ministerstwa. Termin wejścia ich w życie naznaczono na 1 września b. r.

Mamy więc przed sobą oficjalne wydawnictwo Polskiej Akademji Umiejętności: «Pisownia polska — Przepisy — Słowniczek. Wydanie XI.» z przedmową prof. K. Nitscha, przewodniczącego Komitetu.

Prawie wszystkie wzmianki, jakie się dotąd ukazały o nowej pisowni w prasie, charakteryzuje jedna wspólna cecha: złośliwość. Jest to dowodem, że nowe przepisy nie zadowoliły nikogo. Niemal w przysłowie weszło: «Mania to nie mania», zdanie wyśmiewające identyczność pisowni w «Mania» — Marysia i «mania» — nawyk. Identyczność tę motywuje Komitet argumentem, że Mania — Marysia pisze się przez «M», a mania — nawyk przez «m». (str. 22). Zapewne Komitet nie zastanawiał się głębiej nad tym argumentem, bo co będzie, jeśli ta mała «mania» znajdzie się a linea?

Wogóle do argumentacji redakcja «Przepisów» nie ma szczęścia. Już na 8 stronie znajdujemy zdanie: «... nie uzyskały w Komitecie poparcia... pomysły wprowadzenia... znaczków nad literami (c o b y d o p r o w a d z i ł o d o n i e m o ż n o ś c i p r z y t a c z a n i a p o l s k i c h w y r a z ó w w j a k i m k o l w i e k w y d a w n i c t w i e e u r o p e j s k i m)». Znowu się Komitet nie zastanowił, że i dzisiaj niewiele jest zagranicznych zakładów drukarskich, któreby bez specjalnych wysiłków przytoczyły takie nasze wyrazy, jak żółć, pójść, ściąć, święć i t. p.

Najciekawszym argumentem jest jednakże ten, który dotyczy poruszonego już problemu «mania» i «Dania». Brzmi on, w skrócie ustępu ze str. 21, mniej więcej tak: mówi się zwykle (dlaczegoż nie: «powinno się mowić»?) «mańja» i «Dańja», ale dla prostoty będziemy pisać «mania» i «Dania». Konia z rzędem temu, kto zgadnie, na czem tu polega prostota!

Skład Komitetu Ortograficznego wydaje nam się nieco jednostronny. Nie widzimy w nim kresowców, i tem się zapewne tłumaczy zdanie, że różnica między «ch» i «h», «to dla ogromnej większości mówiących kulturalnym językiem polskim różnica wyłącznie wzrokowa». Wszyscy kresowcy (wschodni) doskonale rozróżniają oba te dźwięki tak dalece, że w zadaniach szkolnych te błędy należą do rzadkości. Nie widzimy dalej w składzie Komitetu—napiszemy tu coś horrendalnego—ani jednej daktylografki, ani jednego korektora lub zecera — ludzi, którzy z racji swego zawodu skazani są na najczęstsze borykanie się z pisownią, i którzy z tego właśnie względu mogliby dostarczyć wielu wskazówek praktycznych i życiowych zespołowi uczonych, zbyt obciążonych naukowym balastem. Dlatego prawdopodobnie dość prosta w zasadzie kwestja równouprawnienia litery «j» została wyolbrzymiona do «najtrudniejszej sprawy ortograficznej».

Jest to może rzeczywiście «najtrudniejsza sprawa», ale nie w problemie «Marja, Marya, Maryja i Maria», jak tego chcą «Przepisy», lecz w dziwnym uporze naszych językoznawców, aby nie iść najprostszą drogą. Nie chcemy się tutaj zapuszczać w projekty wyjścia z trudności, na które kiedyindziej będzie czas i gdzieindziej miejsce; zaznaczamy tylko, że litery «j», «i» i «y» domagają się koniecznie gruntownego uporządkowania i ścisłego rozgraniczenia funkcyj. Wiemy, że inaczej powinno się wymawiać «mania», «manja», i «mańja», a że ewentualna «maňa» wymawiałaby się tak samo, jak dzisiejsza «mania». Z tych wszystkich sposobów pisania należałoby wybrać ten, który najlepiej odpowiada prawidłowej wymowie i który tę wymowę podtrzymuje, a nie gmatwa. Tymczasem w «nowych» przepisach «i» zastępuje «j» w «manii», nie zastępnje go w «Azji»; jest tylko znakiem zmiękczenia w «Mania», a jest jednocześnie i znakiem zmiękczenia i samogłoską w «Mani».

Do tej kategorji pomieszania zakresów «i», «y» i «j» należy stosunkowo największa część trudności w naszej pisowni. Są między niemi zagadnienia czysto ortograficzne, jak te, o których wspomniano poprzednio, albo pełne niezwykłych niejasności przypadki z «kie», «gie» i «ke», «ge». Polecono pisać «kelner» i «dżokej», ustalając chwiejną w tych wyrazach wymowę. Ale polecono też «keson» i «poker», w których wymowa dawno się ustaliła na «k'eson» i «pok'er» obok «kepi» i «kedyw», których przecież nikt ani «kiepi» ani zwłaszcza «kiedyw» nie wymawia. Z «ge» i «gie» jest jeszcze gorzej: wyliczono nam kilkadziesiąt wyrazów, których się dzieci będą musiały wyuczyć na pamięć, i zestawiono razem «higienę», w której «j» w prawidłowej wymowie dźwięczy zupełnie wyraźnie, z «Żegiestowem». Wstręt komitetu do litery «j» doprowadza niekiedy do absurdu, który ilustruje następujące zdanie: «W tym zbiorze r a p s o d i i Liszta nie uwzględniono r a p s o d y j z roku 18...» Jeżeli do tego dodamy niektóre wyjątki i porównamy n. p. «ekspresjonizm» i «legendę presyjońską», to doprawdy w nowej pisowni sam «diabeł» nie wie, dlaczego się nie pisze «dyabeł», skoro się wymawia «djabeł».

Skoro mowa o sprawach ściśle gramatycznych — które zresztą nie powinny zabierać miejsca w ortografji, ale kiedy już są, to się trzeba nad niemi zastanowić — widzimy, że prosta zasada Kopczyńskiego znowu poszła w kąt. «Dla usunięcia wciąż masowo występujących błędów» — czytamy nowy nieszczęśliwy argument w «Pisowni» — «znosi się w 6 i 7 przypadku liczby pojedynczej i w 6 przypadku liczby mnogiej zaimków i przymiotników rozróżnianie rodzajów». Więc wreszcie jakaś jednolitość? Nie! Zgodzilibyśmy się może z ciężkiem sercem na typ «dobrymi kobietami» dla rzeczywistej prostoty, choć reguła jest tak radykalna, jak zniesienie «ó» albo «rz»; ale i tu utrzymano wyjątki! Znowu obciążenie pamięci znieruchomiałemi przysłówkami i niektóremi nazwami miejscowości. Bo ma się pisać «w Wysokiem Mazowieckiem» i «w Nowym Mieście»... Ktoś przytaczał niedawno w prasie przykład miasteczka Nowe na Pomorzu, o którem nie wiadomo, czy ma się pisać: w Nowem Pomorskiem, w Nowym Pomorskim, w Nowem Pomorskim czy w Nowym Pomorskiem. Odpowiemy w myśl zasad nowej pisowni: jeżeli «pomorskie» jest równorzędnym członem nazwy, to ma się pisać «Nowem Pomorskiem». Ale jeżeli jest tylko przymiotnikiem, określającym dzielnicę, to będziemy pisać «Nowem Pomorskim». Tak— ale na jednej mapie brzmi nazwa «Nowe», na drugiej zaś i w Urzędowym Rozkładzie Jazdy — «Nowe Pomorskie». Któż tedy zgadnie, jakiej formy użyć?

Możnaby takie przykłady przytaczać tuzinami; możnaby zarzucać przychylanie się do form gwarowych w «półszosta» i «kólczyk», możnaby wyśmiewać «krasomowstwo» i «pierworództwo», można się zżymać na «stokrótkę». Nie o to wszakże chodzi. Chodzi o to, że już z podanych wyżej fragmentów wynika wielka a smutna prawda: nie posunięto się ani na krok w uproszczeniu pisowni, którego żądało Ministerstwo, przeciwnie, cofnięto się do czasów Zjazdu Rejowskiego. Z jedynym — a bardzo szczęśliwym — wyjątkiem dzielenia wyrazów, gdzie sprawę załatwiono krótko i jasno (górą typewriter!) wszystkie inne postanowienia, usuwając trudności drobne, piętrzą stosy trudności poważnych. Jeżeli ludzie z wykształceniem uniwersyteckiem par excellence slawistycznem nie łatwo mogą wybrnąć z zagadnienia, czy pisać «złocisto-czerwony» czy «złocistoczerwony», albo «złoto-czerwonawy» czy «złotoczerwonawy», to cóż dopiero powiedzieć o tłumie nauczycieli szkół powszechnych, którzy mają część młodzieży przygotować do gimnazjum? Reforma ortografji jest rzeczą bardzo kosztowną i nie można tego eksperymentu co parę lat powtarzać. Ale jeżeli nie wypowiedziano jeszcze ostatniego słowa i istnieje nadzieja rewizji, to niechaj się posypią ze wszech stron najgwałtowniejsze protesty: nowa ortografja nie daje nam nic nowego, przeciwnie, j e s t k r o k i e m w s t e c z! Jest krokiem fałszywym, wiodącym do zubożenia języka: «nie ma» i «niema» były dwa pojęcia, dziś już jest jedno; «przy tem», «przy tym» i «przytem» były trzy pojęcia, dziś — zostało jedno. Jest krokiem, wiodącym do zniekształcenia wymowy—bo zapewne dzieci nasze, zwłaszcza te z kresów, z wrodzoną ku temu skłonnością, nie będą już i w wymowie rozróżniać, która to mania ma się pisać przez duże m, a która przez małe, a «kwestja» przybierze formę «kweścia».

Zdajemy sobie sprawę, że pisownia nasza jest zła, może nawet bardzo zła. Ale — pocóż ją było jeszcze pogarszać?

Wiadomości wojskowe

Motoryzacja armji niemieckiej

W chwili obecnej armja niemiecka posiada 3 dywizje pancerne zmotoryzowane, których sztaby mieszczą się w Wejmarze, w Würzburgu i w Berlinie. Dywizje te są całkowicie zmechanizowane i składają się z szeregu wehikułów opancerzonych, jak czołgi różnych typów, samochody i t. p.

Motoryzacja armji — ale w Rosji

Pismo niemieckie „Deutsche Wehr", omawiając postępy motoryzacji w armjach zachodnio-europejskich, zwraca uwagę, iż na wschodzie Europy jedynie Rosja, pomimo ograniczonych możliwości terenowych, rozpoczęła daleko idącą motoryzację swojej armji. Zdając sobie sprawę z trudności terenowych, Sowiety przystąpiły jednocześnie do budowy i ulepszenia dróg i mostów, która to akcja pozostała jednak daleko w tyle za postępującą dość szybko motoryzacją. Niemcy wyciągają z tego wniosek, że Sowieckie oddziały zmotoryzowane przeznaczone są do działania po za granicami Rosji, a więc dla celów zaczepnych w kierunku zachodnim.

Przemysł aeronautyczny

Pułkownik belgijski B. Merzbach zwraca uwagę w La Belgique Militaire na ogromny rozwój przemysłu lotniczego w Niemczech. Stwierdza, iż na 19 fabryk jawnych 10 pracuje dzień i noc na 3 zmiany. Największe i najlepsze fabryki samolotów jak Heinkel, Junkers, Dornier, Arado obecnie zatrudniają z górą 20.000 robotników. W roku 1933 w tych samych fabrykach pracowało zaledwo 8 tysięcy robotników. Zdaniem oficera belgijskiego, obecna produkcja wojennych samolotów w Niemczech wynosi 200 sztuk miesięcznie. Nadto fabryki niemieckie produkują miesięcznie przeszło 100 samolotów komunikacyjnych i sportowych, które z łatwością w razie potrzeby mogą zamienione być na wojenne. Łatwo sobie wyobrazić, jak dalece produkcja samolotów może być zwiększona w Niemczech w razie wojny.

Fortyfikacje nad Renem

Wojskowa prasa francuska ogłasza niektóre dane, odnośnie przeprowadzanych obecnie z gorączkowym pośpiechem fortyfikacyj niemieckich w prowincjach nadreńskich. Roboty fortyfikacyjne rozpoczęte na wiosnę bieżącego roku, w kwietniu zatrudniały 70.000 robotników. Obecnie pracuje w Nadrenji przeszło 150 tysięcy robotników, nie licząc inżynierów i techników.

Niemcy, w przeciwieństwie do francuzów, zamierzają ufortyfikować nietylko pas graniczny, lecz wybudować również szereg fortów prawie w całej Nadrenji. Pierwsza linja umocnień ma się ciągnąć wzdłuż wzgórz Eifel i objąć pagórki na prawo i lewo od rzeki Mozelli. Druga linja od Taunus, przejdzie przez Oderwald do doliny Neckar.

Koncepcja strategiczna organizacji obronnej niemieckiej ma polegać na wciągnieciu armji nieprzyjacielskiej wgłąb terytorjum i rozbicia jej w czworoboku utworzonym przez fortece Trewiru, Koblencji, Moguncji i Karlsruhe.

Czy możliwe jest wtargnięcie Niemców do Francji przez Szwajcarję?

Generał francuski Culmann zastanawia się w la France Militaire nad możliwością pogwałcenia neutralności Szwajcarji przez Niemcy na wypadek wojny z Francją, a to w celu obejścia od południa fortyfikacyj granicznych francuskich.

Rozważywszy różne możliwości i sposoby najazdu niemieckiego na Francję przez Szwajcarję, generał Culmann zajmuje stanowisko w tej sprawie dość pesymistyczne. Zdaniem jego raid dywizyj pancernych i dywizyj zmotoryzowanych niemieckich przez góry Szwajcarskie nie opłaciłby się Niemcom, ze względu na bardzo kosztowny i trudny do odnowienia materjał tych dywizyj. Nadto zniszczenie dróg górskich utrudniłoby ruch oddziałów zmotoryzowanych w takim stopniu, że raid straciłby na szybkości, a co za tem idzie mógłby wogóle się nie udać.

Opinji gen. Culmanna nie podzielają inni fachowcy francuscy i angielscy. Nie brak opinij wskazujących na to, że dla dzisiejszych środków lokomocji motorowej wykonanie napadu na Szwajcarję nie byłoby zbyt trudne. Zanim zmobilizowane oddziały milicji Szwajcarskiej zdołałyby zająć stanowiska obronne, zmotoryzowane dywizje niemieckie poprzedzone przez pancerne mogą opanować najważniejsze punkty przejścia w północnej Szwajcarji.

Według ostatnich wiadomości Szwajcarja zdaje się poważnie zastanawiać nad mogącem jej grozić niebezpieczeństwem ze strony armji niemieckiej. Dowodem tego jest przedłużenie czasu służby w milicji szwajcarskiej, oraz uchwalenie znacznych kredytów na ulepszenie uzbrojenia i stanu wyposażenia armji, rozbudowę lotnictwa i t. d. Również ostatnio rząd Szwajcarski zastanawia się nad budową fortów granicznych, któreby zagrodziły drogę do Szwajcarji ze strony Niemiec.

Nowe samoloty bombowe w Ameryce Półn.

Zakłady Bocing Airerart Company w Seattle otrzymały od Rządu Stanów Zjednocz. zamówienie na wykonanie 13 samolotów bombowych typu Bocing 299 o 4 motorach. Pewna ilość tych samolotów została w roku zeszłym wykonana przez wym. Zakłady i włączona do floty powietrznej Stanów Ziednoczonych.

Samoloty bombowe typu Bocing 299 wzbudziły powszechne zainteresowanie w sferach wojskowych, dokonawszy przelotu bez lądowania na przestrzeni 3.380 kil. z Seaffle do Dayton, przyczem średnia szybkość wyniosła 375 kilom. na godzinę. Nowe samoloty zamówione w Zakładach Bocing Aircraft, mają przewyższać typ Bocing 299 całym szeregiem ulepszeń, nadto mają być większe i szybsze.

Nowy kontr-torpedowiec.

Został spuszczony na wodę w Liworno nowy kontr-torpedowiec włoski pod nazwą „Alfred Oriani", który jest jednym z czterech tego typu nowych jednostek marynarki wojennej włoskiej.

Kontr-torpedowiec „Alfred Oriani" o pojemności 1600 tonn, szybkości 35 węzłów na godzinę uzbrojony będzie w 4 działa 120 mm.. 4 armatki przeciwlotnicze kalibru 37 mm , 4 ciężkie kurabiny maszynowe i 6 wyrzutów torpedowych.

(J. M.)

TEATR

LEON TOMNICZAK

Wykonanie testamentu Bogusławskiego

W przeddzień odsłonięcia pomnika W. Bogusławskiego nadało Polskie Radjo feljeton p. Eugenjusza Świerczewskiego o zasługach „ojca sceny polskiej". Prelegent jest autorem dobrej książki o Bogusławskim i mówił ciepło a treściwie. Niestety, nie zapomniał jednak, że jest także kierownikiem propagandy T. K. K. T. i na końcu feljetonu, mówiąc o niewypełnieniu dotąd testamentu Bogusławskiego, zaryzykował twierdzenie, że dopiero od kilku lat, testament ten zaczyna wchodzić w życie, odkąd powołane, miarodajne czynniki ujęły sprawę teatru w swoje ręce. Słowem: przedstawił pp. nacz. Zawistowskiego i Kądena - Bandrowskiego jako w prostej linji spadkobierców idei Bogusławskiego!

Ponieważ prelegent nie mógł tej śmiałej tezy szerzej rozwinąć, postaramy się uzupełnić jego wywody krótkiem zestawieniem wskazań testatora z ich wykonaniem przez dzisiejszych jego rzekomych dziedziców. Ujmiemy je w kilku punktach:

1. Bogusławski — miał jasno skrystalizowany program ideowy. Uważał swoją pracę za służbę narodową, a teatr za szkołę kształtowania ducha obywatelskiego, związaną ściśle z życiem narodu.	1. Bezprogramowość i pustka ideowa naszych urzędowych teatrów wywołują zastrzeżenia nawet najpobłażliwszych krytyków. Teatr istnieje nawet poza nawiasem rzeczywistych zainteresowań społeczeństwa.
2. Bogusławski — dźwigał odważnie całą odpowiedzialność moralną i finansową za swój teatr. Sam był w nim wszystkiem, od organizatora i twórcy, aż nawet do sprzedawcy biletów. Z pomocy państwa korzystał tylko w początkach, a później sam musiał borykać się ze swemi długami.	2. Wielogłowa dyrekcja T. K. K. T.— oparta wygodnie na pomocy państwa, przemarnowała dotąd bezcelowo sporo grosza publicznego, zaś odpowiedzialność moralną rozłożyła na tyle czynników, że w rzeczywistości nikt za nic nie jest odpowiedzialny.
3. Bogusławski — był świetnym organizatorem. Gdzie nogą stąpił, tam powstawało dzieło mocne i owocne dla późniejszych pokoleń.	3. T. K. K. T. — „reorganizując" się co roku, nie może stworzyć nic, oprócz niesłychanego chaosu i bezładu. Nawet przeznaczenia repertuarowego poszczególnych teatrów nie umiano dotąd ustalić.
4. Bogusławski — całe życie walczył o polskość naszego teatru w dziedzinie repertuaru.	4. Zanik polskiego repertuaru w teatrach T. K. K. T., przyznają wstydliwie nawet oficjalne sprawozdania.
5. Bogusławski — potrafił zachęcić innych autorów do pisania dla teatru i umiał wyszukiwać sztuki już istniejące, a niegrane.	5. Wielogłowy zespół dramaturgów T. K. K. T. nie umiał wytworzyć przyjaznego współżycia z polskimi autorami. Najbardziej sukcesowe sztuki polskie (Nowaczyński, Siedlecki) weszły na repertuar dzięki czynnikom ubocznym i z niemałym oporem dyrekcji.
6. Bogusławski — z literatur obcych wprowadzał przedewszystkiem największe arcydzieła.	6. Teatry T.K.K.T. mają szczególną umiejetność wyszukiwania w literaturach obcych największej tandety.
7. Bogusławski — starał się wciągnąć do swoich teatrów najszersze masy, bez względu na wykształcenie i stan społeczny.	7. T. K. K. T. — podjęło się także prowadzenia teatrów dla szerokich mas podmiejskich, lecz czyniło to tak nieudolnie, że zdyskredytowało jedynie piękną myśl, — nie bez trwonienia znowu wiele grosza publicznego.
8. Bogusławski — umiał wyszukiwać i kształcić aktorów. Swój zapał ideowy potrafił przelać na zgromadzone przy sobie rzesze i skłonić tem do przetrwania najcięższych momentów. Narówni z nimi znosił dobre losy i cierpiał biedę.	8. T. K. K. T.—umiało zniechęcić wielu najlepszych aktorów polskich, Jaracz, Adwentowicz, Malicka pracują poza temi teatrami, obecnie pomnożyli tę liczbę: Modzelewska, Znicz a nawet Dymsza. Junosza Stępowski już tylko luźnie związany z temi teatrami, w których pannje nastrój zniechęcenia i niewiary w swoją pracę. Gdy aktorów się redukuje i obniża im pobory, — ani jednego z korpusu dyrektorów i kierowników dotąd nie zredukowano.
9. Bogusławski — był nadzwyczaj skromny i zdawał sobie krytycznie sprawę ze wszystkich braków i niedostatków rodzącego się teatru polskiego.	9. Wysokie mniemanie o sobie i zarozumialstwo władców T. K. K. T. jest powodem nieustających polemik z krytyką, które nikogo nie przekonają, a świadczą tylko o naiwnej chęci uśpienia wszelkiego krytycyzmu.
10. Bogusławski — przez całe życie dążył do wyrobienia gustu publiczności i wszczepienia jej kultu dla pięknych i wzniosłych rzeczy w teatrze.	10. Najśmielszy płatny panegirysta — nie ośmieliłby się powiedzieć niczego podobnego o działalności T. K. K. T.

Przegląd Prasy Krajowej

Jak wiadomo powszechnie, pojęcie „frontu Morges" powstało po rozmowach politycznych w Morges pomiędzy I. Paderewskim, W. Witosem i J. Hallerem. Później ogłoszono, że tygodnik „Odnowa" reprezentuje ów „front". Oczywiście, wiadomość nieścisła, bo nikt z wymienionych powyżej ani nie dał jednego grosza, ani nie napisał dotąd jednego wyrazu w tekście tygodnika. Ale ponieważ „Odnowa" odnosi się do tych zasłużonych Polaków z czcią i uznaniem, przeto nie przeszkadzało nam, gdy plotka zamieniła stosunek uczuciowy na formalny.

Jeśli poruszamy tę sprawę obecnie, to z powodu wiadomości w Warszawskim Dzienniku Narodowym, że w wyborach samorządowych w Łodzi **sanacja i Front Morges głosowały wspólnie**. Czyli: Paderewski, Witos, Haller przeszli do sanacji. Gdyby taka notatka pojawiła się w rynsztokowcu prawicowym, to byłby jeden z wypadków chronicznie uprawianego oszczerstwa. Ale nie w oficjalnym organie wielkiej partji. Nie wątpimy, że Warszawski Dziennik Narodowy sprostuje bezecny wybryk swojego korespondenta.

*

Względna cisza na odcinku polityki wewnętrznej pozostawiła nieco czasu na podjęcie rozpraw w łonie dawnych składowych elementów Bezpartyjnego Bloku. Zaczęli konserwatyści atakiem na ministra Poniatowskiego, który według Czasu

„Przyspiesza za wszelką cenę parcelację, kiedy 2/3 naturalnego zapasu ziemi zostało rozparcelowane bez widocznej korzyści dla struktury rolnej w Polsce, w chwili, kiedy proces rozdrabniania się gospodarstw chłopskich postępuje bez żadnej ustawowej tamy... U nas sztucznie obniża się ceny ziemi i forsuje tylko przymusową parcelację, aby nietylko najwięcej wywłaszczyć, ale i możliwie wykwitować dotychczasowego właściciela, zapominając, że obniża się jednocześnie wartość majątku narodowego, wartość i tego warsztatu, którym obdarza się zbiedniałego chłopa. Nasza polityka rolna ekspozuje się w kierunku nie podnoszenia produkcji, ale w kierunku ingerowania, kto i co ma produkować, i poróżnienia mniejszego gospodarza z większym, z oczywistą szkodą dla samej produkcji".

Kontratakuje Kurjer Poranny, blizki Generalnego Inspektoratu i kół płk. Koca. Twierdzi, że nerwy konserwatystów nie wytrzymały:

„Głuche wieści o niezwalczonej niechęci pułk. Adama Koca do budowania swych planów politycznych w oparciu o księcia Janusza Radziwiłła i innych pomniejszych arystokratów, wytrąciły obóz konserwatystów z równowagi... Rozumiemy, że stawka jest warta wielkiego ryzyka, ale wszystko musi mieć granice, nawet bojaźń przed utratą zadłużonych ponad wartość majątków, nawet strach przed utratą wpływów politycznych, zwłaszcza tych, które nabyło się bez wielkich zasług i ofiar dla Państwa".

Konserwatyści wileńscy mają natomiast inne kłopoty, albo raczej .. brak kłopotów. Zrozumieli, że norymberska mowa Hitlera była tylko frazeologją, że ze strony, której cały świat niedowierza, niema się właściwie czego obawiać:

„Uważam — pisze egocentrycznie p. Cat w Słowie — że wojny w Europie Niemcy nie rozpoczną. Wszystkie groźby, rzucane na „Parteitagu", to tylko silne stuknięcie w stół organizujących się „frontów ludowych" i tych grup państw, które jako państwa uprawiają już politykę frontów ludowych".

W miarę zmniejszania się w polityce wewnętrznej faktów realnych, przybierają na sile rozważania i polemiki teoretyczne. W prasie ostatnich dni pojawiło się kilka artykułów, w których polemika dotyczy zasad i programów. Robotnik zapewnia, że w Polsce ruch komunistyczny słabnie i że

„...naganka nań ma charakter celowo zorganizowanej akcji... W ten sposób — sądzą chytrzy organizatorzy całej tej orkiestry propagandowej, wodzowie naganki — może uda się społeczeństwo zbliżyć do faszyzmu, strasząc je i dowodząc, że każdy krok, ba, każdy kroczek postępowy będzie wykorzystany przez „komunizm". „Precz z demokracją! Precz z liberalizmem!" Endecja chciałaby w ten sposób napędzić ludzi na swe podwórko".

Broni się Warszawski Dziennik Narodowy nieco blado, zapewne mając zastrzeżenia z powodu arrière pensée hrubieszowskiej:

„O komunizmie świadczą nietylko procesy, nie tylko wykrywane wciąż jaczejki, stosy bibuły i drukarnie, ale także niektóre ruchy strajkowe i krwawe zaburzenia, oraz różne enuncjacje intelektualistów i publikacje. Oczywiście godzimy się z tym, że nie trzeba tropić komunizmu tam, gdzie go niema, ale byłoby zbrodniczą lekkomyślnością nie widzieć go tam, gdzie działa i spiskuje",

Robotnik znalazł nieoczekiwany sukurs ze strony, z której się tego napewno nie spodziewał. Oto Kultura, organ akcji katolickiej, przestrzega:

„Ostrożnie z szafowaniem nazwą „komunista". Bo cóż będzie, gdy przyjdą ci prawdziwi"?

Czytamy tam słowa, pełne ludzkiej prawdy i obserwacji szarego życia:

„Otóż pewną kategorję ludzi określa się dziś bardzo często mianem „komuniści" — i za to tylko, że są niezadowoleni z obecnych warunków socjalnych, że dochodzą swoich praw, że żądają sprawiedliwości.

Ostatnie wypadki są tego bardzo jaskrawym dowodem. Mieliśmy strajki, słyszeliśmy wołania o słuszną płacę. Były manifestacje, żądano pracy, domagano się chleba. A jaką to wywołało reakcję? Pomstowanie na „wygórowane" żądania (w pierwszym wypadku), na szerzący się komunizm (w drugim wypadku).

Komuniści... Mój Boże!.. Łachman ludzki, wyrzucony poza nawias społeczeństwa, żyjącego choćby tylko w jako tako znośnych warunkach, przypomniał się, że jest człowiekiem, że ma prawo do życia, że chce jeść, a w odpowiedzi spotkał się z pałką i z więzieniem. Wiadomo: „komunista". A poczucie krzywdy rośnie..."

Są jeszcze inni „komuniści". Nazwano ich tak dlatego, że wołają na alarm, że domagają się słowem czy piórem lub nawet osobistą interwencją sprawiedliwej płacy, oddania niewypłaconych zarobków, pracy dla wszystkich i t. p. — słowem stanęli w obronie pokrzywdzonych. Rzecz znamienna, że spotyka ta obelga nawet księży, gdy ośmielą się przeciwstawić wyzyskowi".

Inne, bardziej teoretyczne, rozważania, które zajęły sporo miejsca na szpaltach ostatnich tygodni, dotyczą „monopartji". Czas i Słowo, ze względów zrozumiałych (mała liczebność członków), nastawione są negatywnie do tych pomysłów. Gorąco je przyjmuje Prosto z Mostu. Szkodliwość, a w naszych warunkach i bezcelowość rozważania tych pomysłów podnosi Kurjer Polski:

„Monopartja" nie miałaby nic w Polsce do roboty. Geneza i dynamika polskiego systemu rządów autorytatywnych były inne, niż w Niemczech i we Włoszech.

Nie powinni o tem zapominać zawsze w Polsce liczni naśladowcy obcych wzorów. Rządy autorytatywne nie powstały w Polsce w drodze ruchu społecznego od dołu, lecz zostały narzucone przez jednostkę od góry.

W początkowym okresie rządząca jednostka uważała za właściwe posiłkować się organizacją społeczną, która nazwała się sama „bezpartyjną", jeżeli mogła być uważana za stronnictwo, to chyba raczej za stronnictwo rządzące.

Później także i tę organizację uznano za zbędną. Zabierać się więc do tworzenia nowego stronnictwa rządzącego i dmuchać w płomień, który się nigdy u nas nawet nie zatlił, a wszędzie dzisiaj wygasa — znaczyłoby to samo, co podawać musztardę po obiedzie".

* *
*

Przejdźmy teraz od „monopartji" do rzeczy znacznie realniejszych. Zajmującą wiadomość podaje Goniec Warszawski:

„Wspólnota interesów", jedno z największych przedsiębiorstw żelaznych świata, wartości kilkuset miljonów, zatrudniające około 25.000 pracowników i stanowiące obecnie własność Rządu Polskiego, ma być uspołecznione".

Dowodzi Goniec, że udział pracowników w zyskach przedsiębiorstwa jest fikcją wobec stałego deficytu, i oznacza raczej pokrywanie przez pracowników niedoborów:

„W tych warunkach trudno się dziwić, że wiadomość o zamiarze uszczęśliwienia pracowników współwłasnością wywołała w ich kołach żywy niepokój, tak, że niektórzy zaczęli się już starać o inne posady, by w ten sposób uniknąć dobrodziejstwa „uspołecznienia".

Innym realnym, a oczywiście nadającym się do satyry faktem, bo z zakresu biurokracji, zajmuje się kilka dzienników. Chodzi o paszporty dla profesorów wysłanych przez polskie instytucje naukowe na zjazd międzynarodowy do Oslo. Posłuchajmy, co o tem pisze Czas:

„Trudno o fakty bardziej wymowne. Matematycy, wielcy uczeni, którzy rozsławiają szeroko imię kultury polskiej — z największym trudem uzyskują paszporty, i tylko dzięki interwencji obcego posła mogą wziąć udział w doniosłym kongresie. A tymczasem Rzeczpospolita wydaje ogromne sumy na wysłanie zagranicę stukilkudziesięciu sportowców i ich kibiców. Co więcej: wysyła się równocześnie ekspedycję taneczną, znów bardzo liczną".

Możnaby się pośmiać, gdyby to nie dotyczyło polskiej kultury naukowej i zrozumienia wartości tej kultury w polskich sferach urzędowych. Jednocześnie wprost pod rękę nam wpada artykuł prof. Tretiaka w Kurjerze Warszawskim, artykuł tylko relacyjny ze sprawozdania University Grants Commitee, rządowej komisji zasiłków, udzielanych wyższym szkołom, za lata 1929 — 1935. Pytamy się, co ma do czynienia z uniwersytetami ta komisja rządowa?

„W naszem pojęciu taka komisja wiąże się zawsze z czymś niemiłym, przestępstwami, śledztwem, niedomogami przeważnie natury moralnej. Otóż nic z tego nie ciąży nad tą komisją angielską. Uniwersytety (a jest ich w tej chwili w Anglji z Walją i Szkocją 16 i 3 kolegja, będące zarodkami przyszłych uczelni) są, jak wspomniałem, instytucjami prywatnymi, „przedsiębiorstwami zarejestrowanymi" (incorporated), czerpiącymi swe fundusze z fundacji, donacji, opłat za naukę i egzaminy. Stąd ich pełna niezależność od rządu. (U nas wygląda to inaczej). Od pewnego jednak czasu, od mniej więcej trzydziestu lat, potrzebują, przy rozroście nauki i studjujących, pomocy z funduszów państwowych. Pomoc ta jest wydatna; w ostatnim sześcioleciu wynosiła przeszło 2 mil. funtów rocznie i stanowiła 33,9 proc. dochodów ogólnych. Budżetowo należą te zasiłki do t. zw. „grants in aid", nie podlegających dyskusji w parlamencie. Udzielane są poszczególnym uniwersytetom do swobodnego użytku; władze uniwersyteckie nie składają żadnego szczegółowego preliminarza, ani też żadnych szczegółowych sprawozdań z zużycia tych zasiłków, lecz jedynie ogólne sprawozdanie ze swojej działalności, ze swoich problematów wychowawczych i społecznych i ze swoich ogólnych potrzeb — z tych przedewszystkiem — na ręce właśnie komisji rządowej, powoływanej na dłuższy okres czasu, która zwiedza uniwersytety, przeprowadza rozmowy z władzami, wykładowcami i słuchaczami i przedstawia ministrowi skarbu wnioski co do wysokości zasiłku. Na okres nowy proponuje, przyjętą przez rząd, kwotę wyższą o 270.000 funtów (t. j. przeszło o 7 miljonów zł.) od dotychczasowej".

A. W.

Odpowiedzi Redakcji

K. Kr. we Lwowie. — Za adresy dziękujemy. Wyślemy. Notatka jest nieco spóźniona. Prosimy o korespondencję ogólną, licząc się z możliwościami wydrukowania w dzisiejszych warunkach. Jesteśmy bezradni wobec rękopisów nieczytelnych.

Z. Fro .. (??) — Na miły Bóg, piszcie Panowie na maszynie, albo wyraźniej. Redaktor i zecer też zasługują na litość.

Prof. G. — I my pragnęlibyśmy nie ograniczać się widnokręgiem Warszawy. Korespondencje z prowincji na odpowiednim poziomie są bardzo pożądane.

P. J. E., Kraków. „Neminem captivabimus, nisi iure victum" (nikogo nie uwięzimy, o ile go nie przekonamy prawem) są to pierwsze słowa przywileju, wywalczonego przez społeczeństwo polskie w pierwszej połowie XV wieku.

P. S. Bryński. Artykułu „O praworządności" zamieścić nie możemy. Nie na czasie.

Z Prasy Zagranicznej

Wszystkie pisma zagraniczne zajmują się na pierwszem miejscu sprawą dewaluacji franka francuskiego i skutkami, jakie ten krok pociągnął za sobą w innych krajach, przedewszystkiem, co już wiadomo, w Szwajcarji. Ponieważ tą kwestją zajmujemy się w bieżącym numerze na innem miejscu obszerniej, przytoczymy tu tylko te znamienniejsze głosy, które wybiegają poza stan faktyczny. Naogół bowiem przypuszcza się, że Francja daje początek wielkiej akcji powszechnego ujednostajnienia waluty. Times przewiduje możliwość rozszerzenia akcji dewaluacyjnej na inne kraje,

„co mogłoby pociągnąć za sobą międzynarodową reformę walutową".

Berlińska Germanja podkreśla, że

„należy pamiętać, że obecne posunięcia francuskie mogą być tylko przygrywką do nowej światowej konferencji gospodarczej",

Podobne przekonanie wygłasza wiedeńska Neue Freie Presse, doskonale, jak wiadomo, wprowadzona w tajniki wielkiej finansjery:

„Zresztą koła bankowe wyrażają przekonanie, że chodzi tu o zarządzenie przejściowe, po którem w krótkim czasie nastąpią dalsze rozstrzygnięcia, aż do zupełnego uregulowania zagadnienia. To przekonanie poparte jest wiadomościami z Londynu i Paryża o niezwykle przychylnem przyjęciu reformy francuskiej oraz o silnym, zwłaszcza w City, optymiźmie".

Również ze znaczną dozą optymjzmu, ale z dużem zróżniczkowaniem motywów, traktuje prasa pozostanie Włoch w Lidze Narodów. Oto Temps snuje wnioski o stosunkach rzymsko-berlińskich:

„Wszystko zdaje się wskazywać, że kierownicy polityki włoskiej nie dadzą się unieść nastrojom złego humoru. Italia nie wycofa się prawdopodobnie z Ligi Narodów, ale tak długo, jak długo trwać będzie sytuacja, rząd włoski odmówi współpracy z instytucją genewską.

Postępowanie Italji dowodzi wyraźnie, że porozumienie między Rzymem a Berlinem nie posiada tej siły, jaką mu niektórzy przypisują. Bo gdyby istniały między Rzymem a Berlinem jakieś zobowiązania, jakieś tajne traktaty albo poprostu wspólny front faszystowski, to sprawa delegacji abissyńskiej dawałaby wyjątkową okazję da zamanifestowania powodów takiej polityki".

Do innych konkluzyj dochodzi prasa angielska. Daily Telegraph zauważa:

„Rezerwa, jakiej się trzyma Mussolini, jest wskazówką siły znacznie większej, niż mu ją przyznawali najzagorzalsi krytycy Ligi Narodów".

Wielki dziennik City, Times, jest zdania, że komisja weryfikacyjna mandatowa Ligi mogła była, przy dobrej woli, znaleźć pozory niedopuszczenia delegacji abissyńskiej:

„której trudno właściwie reprezentować jakiś rząd rzeczywisty. Ale faktem jest, że znaczna większość narodów, które odrzuciły dyskwalifikację Abissynji, oświadczyła, że czyni to dlatego, aby nie przyjąć zasady, któraby była uznaniem zwycięskiej agresji.

I oto okazało się, że przyszłe zasadnicze posunięcia w kierunku organizacji pokoju winny się odbywać poza Genewą. Reforma Ligi Narodów nie może się udać poza traktatem lokarneńskim, a konsekwentnie musi przejść przez Berlin".

Z punktu widzenia „krzywdy" włoskiej rozpatruje dopuszczenie do obrad delegacji abissyńskiej prasa wiedeńska. A jednocześnie odkrywa utajoną w prasie Zachodu rolę Litwinowa. Pisze więc Neues Wiener Journal:

„Dzień wczorajszy był czarnym dniem dla samej idei Ligi Narodów. Przeważyły wpływy bolszewickie, zdolne skompromitować poważnie, jeśli nie zupełnie uniemożliwić, sam cel Ligi, to jest metodyczną rekonstrukcję pokojową świata. Tym to wpływom zawdzięcza świat znowu ciemne chmury na horyzoncie politycznym, a niebezpieczeństwo zwiększa nowa krzywda wyrządzona Włochom".

Tę „krzywdę" oświetla nieco z niemiecka stara, zażywna Reichpost:

„Rosja sowiecka jest wyjątkowo zainteresowana w możliwie największem oddalaniu Włoch od czynnej współpracy tak z Genewą, jak z innemi państwami lokarneńskiemi".

Prasa niemiecka, zgodnie z nastawieniem w mowie norymberskiej, nie przestaje wskazywać palcem na Sowiety. Pisze więc obrazowo berliński Local Anzeiger:

„Trzy wielkie państwa zachodnie zasiadły przy jednym stole do wspólnej pracy. Nawet gdyby kto się odnosił do niej z pewnym sceptycyzmem, mógłby może widzieć tu zaczątek jakiejś płodniejszej ewolucji. Ale, jak wszędzie, gdzie wchodzi w grę sanacja stosunków, wchodzi bolszewizm — i bolszewizm trjumfuje. Dano mu do dyspozycji aparat genewski. Moskwa się tym aparatem posługuje, a kiedy narody już, już mają się ze sobą zbliżyć, Moskwa rzuca bomby, wzniecające pożar".

Allgemeine Zeitung jest nieco rozczarowana:

„Możnaby przypuszczać, że opór Francji wobec Litwinowa nie był tak energiczny, jak się tego można było spodziewać po atakach pewnej części prasy paryskiej".

Kto wie, czy „Allgemeine Zeitug" nie będzie miała, wraz z całą resztą prasy niemieckiej, znacznie więcej i to poważniejszych rozczarowań. Bo oto w odpowiedzi na norymberską zapowiedź żądania zwrotu kolonij niemieckich, Le Monde Colonial zapowiada w tej sprawie ogłoszenie w następnym numerze artykułu. Sama zapowiedź wzbudziła ogromne zainteresowanie. Bo też autorem artykułu jest nie byle kto: były minister kolonij w chwili, gdy Francja otrzymywała mandat nad Togo i Kamerunem, późniejszy Prezydent Francji, przewodniczący Komitetu Afryki Francuskiej— pan Gaston Doumergue.

Treść artyknłu przeniknęła już do prasy. Według Journal des Débats p. Doumergue twierdzi, że nie może być żadnej podstawy ani ekonomicznej, ani moralnej, do pozbawienia Francji mandatu, z którego się wywiązuje bez zarzutu. Uważa, że kwestja zwrotu kolonij mandatowych nie może dotyczyć jednego tylko kraju:

„Nie zapominajmy, że zainteresowane są w tej sprawie poza Francją: Anglja, Unja Południowo-Afrykańska, Australja i Nowa Zelandja, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej",

które nie należą do Ligi Narodów, a więc nowa komplikacja!

„Japonja, Belgja, Portugalja i Holandja. Skoro ta sprawa stanie na porządku dziennym, nie będzie można jej rozstrzygnąć bez udziału tych wszystkich zainteresowanych państw. Liga Narodów nie jest właściwie kompetentna: ma prawo wglądu i kontroli nad wykonaniem mandatów kolonjalnych, ale żadnej mocy decyzji".

Tem się tłómaczy ostentacyjne milczenie prasy zagranicznej w stosunku do posunięcia ministra Becka, który na niewłaściwem — według Prezydenta Doumergue'a — forum postawił nasze życzenia kolonjalne.

Tymczasem Niemcy nie zaniedbują niczego na polu kolonjalnem. Skoro sprawa kolonij „zamorskich", surowcowych i prestiżowych nie znajduje się nawet w powijakach, ale dopiero in statu nascendi, trzeba pilnować kolonji bliższej, „wewnętrznej", gdzie przygotowania zaszły dość daleko. Mamy więc specjalny niedzielny dodatek do Germanji, pod znamiennym tytułem „Gesamtdeutsches Schicksal" (wszechniemieckie przeznaczenie) poświęcony Austrji. Widzimy tam wiedeński kościół św. Szczepana na pięknej ilustracji i widok z Karyntji. Czytamy pełne wymowy tytuły artykułów: „Czy istnieje austrjacka muzyka"?, „Człowiek austrjacki", „Austrjacki barok" i t. p. A redakcja opatruje dodatek dłuższym wstępem, pisząc między innemi:

„To polityczne i gospodarcze odprężenie (od 11 lipca 1936) byłoby niekompletne, gdyby nie było poparte także ściślejszą współpracą na terenie kulturalnej i duchowej wymiany. Tutaj bezwątpienia najłatwiej nawiązać z powrotem naderwane nici i usunąć nieporozumienia, bo przecież kultura i duchowa wspólnota niemiecka od Burgenlandu po morze Północne przetrwała wszystkie wieki zmian politycznych".

Praca więc wre — technicznie zwie się penetracją pokojową.

Natomiast, poniekąd w związku z „nieudaną" według źródeł niemieckich konferencją Małej Ententy w Bratysławie, utknęły na martwym punkcie rokowania ekonomiczne niemiecko-jugosłowiańskie. Dowiaduje się bowiem Matin:

„Rokowania, toczące się między Jugosławją a Niemcami w celu wyrównania pewnych różnic o charakterze ekonomicznym, zostały przerwane bez rezultatów pozytywnych. Niemcy bowiem zażądali, ażeby przy wymianie towarowej notowano markę niemiecką po 14,5 dinara, zamiast, jak dotąd, po 13,5 din. To żądanie jest dla Jugosławji nie do przyjęcia tembardziej, że zadłużenie clearingowe Niemiec w stosunku do Jugosławji wynosi jeszcze 19,5 miljonów marek".

Bylibyśmy ciekawi usłyszeć z ust kompetentnych, jak wygląda to zadłużenie „clearingowe" Niemiec w stosunku do Polski...

O sprawach polskich informuje nas Berliner Tagblatt:

„Szef sztabu generalnego rumuńskiego, generał Samsonowicz, przybędzie do Warszawy w początku października na czele misji wojskowej".

Ponadto szereg dzienników podaje za jednem z pism polskich szczegóły podróży p. Thorez'a do Moskwy.

Azet.

Od Administracji

W numerze poprzednim podaliśmy do wiadomości, że spółka akcyjna „Ruch", monopolizująca kioski z gazetami na kolejach i częściowo kolportaż w miastach, odmówiła sprzedaży „Odnowy". To ochotnicze i nadpolicyjne stanowisko „Ruchu", które kiedyś musi być zrewidowane i ukrócone, wywołało dużo listów od osób, interesujących się naszym tygodnikiem. Odpowiadamy przeto, że celem uprzystępnienia pisma abonentom bezpośrednim, — obniżamy prenumeratę tygodnika „Odnowa" z 2 złotych na

1 zł. 50 gr. miesięcznie na całym obszarze Rzeczpospolitej.

Abonentom, którzy już wpłacili prenumeratę, zaliczymy ją według ceny obecnie zniżonej, bądź też, na życzenie, zwrócimy naddatek pocztą.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O № 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1.50; zagranicą zł. 2.— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; 1/2 str. — zł. 125.— 1/4 str. — zł. 75.—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej). Tel. 11-91-03.